MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 6 WARSZAWA, 10 LUTEGO 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

„CREDO“ WŁADYSŁAWA SEYDY

„Praworządność tylko wówczas przestanie być czczem słowem, gdy wymiar sprawiedliwości spoczywać będzie w ręku niezawisłego, na wysokim poziomie postawionego sędziego. Sądy Rzeczypospolitej tylko wówczas zadanie swe będą mogły spełniać należycie, gdy naród ożywiać będzie przekonanie, iż wyrok sądu podyktowany jest zawsze ustawą i sumieniem sędziego, do którego żadne wpływy uboczne dostępu mieć nie mogą".

(*z motywów do projektu pragmatyki sędziowskiej z r. 1922, cyt. w/g Jamontta, „Hist. i Krytyka rozp. o ustroju sądów Powsz.*").

OPARCIE ustroju państwowego, a wraz z nim całego porządku prawnego na nowych, lepszych i zdrowszych zasadach, miało stanowić myśl przewodnią przewrotu majowego. Im bardziej twórcy i wykonawcy jego potępiali rządy przed-majowe i im się przeciwstawiali, tem gruntowniejszą, istotną, głęboko przemyślaną naprawę Rzeczypospolitej jako swe zadanie i obowiązek dziejowy wzięli na siebie. Domagała się tego logika faktów dokonanych i odpowiedzialność wobec historji i przyszłości narodu.

Stało się tymczasem inaczej. Szablą uczyniony wyłom w Konstytucji marcowej załatano doraźnie w ustawie z 2 sierpnia 1926 r. o zmienienie Konstytucji, nie podejmując wielkiego dzieła naprawy Rzeczypospolitej. Wbrew oczekiwaniu wielu nie nastała nowa era w rozwoju naszej państwowości, nie nastąpiło wejście jej na nowe tory, lecz pozostały dawne ramy życia państwowego i stojąca w sprzeczności z niemi nowa rzeczywistość polityczna. W ten sposób w naszem życiu państwowem nastał nie nowy okres, oparty o nowe zasady i formy, ale stan tymczasowości, w którym przejawy i funkcje tego życia układały się nie zgodnie z całokształtem i treścią porządku prawnego, lecz odpowiednio do stosunków faktycznych. Względy prawne ustąpić musiały na całej linji — względom politycznym.

W okresie tym, któryby można z autorem francuskim nazwać *un coup d'Etat prolongé*, spotykamy się u czynników decydujących jedynie z programem negatywnym, odrzucającym przedmajowe formy polityczne, brak natomiast programu pozytywnego, w jaki sposób mają być zastąpione te odrzucone formy.

Ale jeżeli niema programu pozytywnego, istnieje jednak nie szkicowy, ale szczegółowy plan działania, określający, jak w największym stopniu podporządkować stosunki faktyczne w państwie woli twórców i wykonawców nowego *régime*'u a przez to utrwalić sam *régime*'u. Ten plan działania jest to *sui generis* strategja. Kwestje państwowe nie są tu zagadnieniami do rozwiązania, lecz są to pozycje do zdobycia i utrwalenia się na nich. W orbitę swą wciąga ta strategja wszystko i wszystkich, i wyjaśnia nam wszystko, co się dzieje od 1926 r. Czy weźmiemy stosunki między rządem a sejmem, całą kampanję przeciwko t. zw. sejmowładztwu, utożsamiającą sejmowładztwo z przedstawicielstwem narodowem i obliczoną na zdepopularyzowanie parlamentu, czy politykę personalną w administracji, czy stosunki gospodarcze, podporządkowywane systematycznie nowemu *régime*'owi w myśl tej samej zasady,—wszędzie jest ta sama strategja z jedynym celem całkowitego opanowania położenia. W ten sposób motywem dominującym tego okresu stają się względy polityczne, zmierzające do jednego celu we wszystkich swych formach i przejawach, mianowicie do podporządkowania wszelkich czynników politycznych i społecznych woli grupy rządzącej.

Dopiero na tem tle staje się zrozumiała ostatnia reforma sądownictwa, która weszła w życie od 1 stycznia r. b. Jej pozytywna strona, polegająca na unifikacji organizacji sądów, opiera się na długich pracach rozmaitych zespołów prawniczych, komisyj i ministrów sprawiedliwości, począwszy od 22 września 1919 r. W tej długiej pracy przygotowawczej chodziło zarówno o stworzenie odpowiedniej struktury

organów wymiaru sprawiedliwości, jak o urzeczywistnienie konstytucyjnych gwarancyj niezawisłości i godności sądownictwa. Jest to bowiem jednym z najbardziej dodatnich rysów Konstytucji marcowej, że silniej może, niż wszystkie inne, podkreśla zasadę niezawisłości sądów.[1]) Podstawowy pod tym względem art. 2 Konstytucji uznaje władzę sądową, jako trzecią władzę, równorzędną z władzą ustawodawczą i wykonawczą, rozdział IV-ty Konstytucji zaś rozwija tę zasadę w art. 74—86, stanowiąc, że sędziowie są w sprawowaniu swego urzędu niezawiśli oraz nieusuwalni, poza wypadkami w ustawie przewidzianemi, lecz i wtedy mogą być usunięci jedynie mocą orzeczenia sądowego lub gdy przeniesienie sędziego na nne miejsce lub w stan spoczynku jest wywołane zmianą w organizacji sądów, postanowioną w drodze ustawy. Do r. 1926 były w komisjach, opracowujących projekty ustaw o organizacji sądów i pragmatyce sędziowskiej, odmienne ujmowania sposobu zastosowania tych przepisów Konstytucji, zostały one jednakże uzgodnione i projekt pragmatyki został uchwalony w drugiem czytaniu przez sejm przed świętami wielkanocnemi 1926 r. Do trzeciego czytania projektu nie doszło z powodu przewrotu majowego.

Na nowo sprawa sądownictwa została podjęta przez wiceministra Cara i aczkolwiek skorzystano z owoców pracy lat poprzednich, poczyniono jednak w nich zasadnicze zmiany, wskutek których „niezawisłe sądy" stały się zawisłemi od ministra, a gwarancje konstytucyjne niezawisłości i nieusuwalności sędziów uczyniono iluzorycznemi. Wbrew wyraźnemu postanowieniu Konstytucji władza sądowa straciła stanowisko władzy równorzędnej z władzą ustawodawczą i została podporządkowana władzy t. zw. wykonawczej czyli właściwie rządowej. Strategja polityczna zdobyła nową pozycję, ale jakim kosztem? Czy ograniczenie niezawisłości sędziów nie jest podważeniem samego wymiaru sprawiedliwości, a więc podstawowej funkcji społeczno-państwowej, uczynieniem z praworządności już tylko czczego słowa? Nie możemy w tem widzieć żadnego wzmocnienia państwa, ani siły rządu. Jeszcze raz względy zasadnicze, konstytucyjne, rzeczowe i prawne ustąpić musiały względom i hasłom politycznym.

Że tak jest w istocie, że wydanie rozporządzenia o nowym ustroju sądowym nie miało na celu, przynajmniej na pierwszym planie, unifikacji sądownictwa i postępu organizacyjnego, lecz przedewszystkiem względy polityczne, tego dowodem, że zanim przystąpiono do reorganizacji, uczyniono z rozporządzenia użytek czysto polityczny. Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego, Władysław Seyda został usunięty ze swego stanowiska poza wszelką reorganizacją ustroju sądowego.

Motywy dymisji pierwszego sędziego Rzeczypolitej były polityczne, aczkolwiek stał on poza bieżącą polityką i był zasadniczym przeciwnikiem mieszania sądów do spraw politycznych w obawie o podważenie ich autorytetu, czego najlepszym dowodem był negatywny stosunek prezesa Seydy do spraw wyborczych Jako przyczynę usunięcia podano „różnicę w światopoglądach". I podano ściśle. Tą różnicą w światopoglądzie był stosunek prezesa Seydy do zasadniczej sprawy stanowiska sądów w państwie i ich niezawisłości.

Wł. Seyda był zdecydowanym przeciwnikiem reformy sądownictwa według pomysłu ministra Cara. Po zapoznaniu się z projektem w uwagach swych zaznaczył konieczność zmiany szeregu przepisów, przyczem wyłuszczył swe zasadnicze stanowisko, którego motywy stanowią już obecnie dokument historyczny[2]).

Wł. Seyda oświadczył w swych uwagach:

„...że historja uczy, iż niezawisłe sądy są jedną z najważniejszych podstaw rozwoju i potęgi państw i narodów; że natomiast sądy, ulegające jakimbądź wpływom, są objawem ale zarazem i jedną z przyczyn upadku państw i narodów;

że niezawisłość sądów wymaga jak najdalej idącej niezależności sędziów nie tylko pod względem mianowania, przenoszenia i usuwania ze stanowiska zajmowanego;

że w Polsce pod temi względami konieczne są tem większe gwarancje, ile że długoletnia niewola nie przyczyniła się do wyrobienia silnych, niezależnych charakterów, jakich dobro sądownictwa wymaga;

że pomny na słowa nieodżałowanego poprzednika swego — ś. p. Franciszka Nowodworskiego, które poniekąd jako testament wypowiedział na łożu śmiertelnem:

„chrońcie niezawisłości Sądów, to ostoja praworządności", uważa za obowiązek sumienia, jako Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego, oświadczyć, iż projekt prawa o ustroju sądów powszechnych, przedłożony Radzie Ministrów, jakkolwiek skądinąd niezaprzeczenie ma wiele zalet, nie zawiera dostatecznych gwarancyj niezawisłości sądów i winien ulec zasadniczym zmianom".

Wypowiadając te słowa, stanął Wł. Seyda w obronie konstytucyjnych gwarancyj niezawisłości sądownictwa, których istnienia wymaga interes państwa i jego obywateli. W ten sposób Wł. Seyda spełnił do końca swój obowiązek pierwszego sędziego Rzeczypospolitej i do końca utrzymał, bez żadnych kompromisów, prostą linję wytyczną swego postępowania.

Słowa jego niewątpliwie wyryte będą niezatartemi głoskami w umysłach sędziów i służyć będą pokoleniom za drogowskazy postępowania. Słowa te zawierają moc twórczą, której działanie przetrwa chwilowe konjunktury i strategje polityczne. Minister Car i jego reformy przeminą, ale nie przeminą te zasady Wł. Seydy, pozostanie to proste a silne i podniosłe *credo* sędziowskie, bo w niem jest płodny posiew przyszłości i odrodzenia.

WACŁAW KOMARNICKI

[1]) Patrz Dr. Aleksander Mogilnicki, prezes Sądu Najwyższego: „Niezawisłość sądów w nowym ustroju sądowym". Warszawa, 1928 r.

[2]) Patrz: Janusz Jamontt, sędzia Sądu Najwyższego, prof Wolnej Wszechnicy Polskiej, „Historja i Krytyka i t. d.".

DO PRUSA, NIE DO PROUSTA!

SWEGO czasu, w recenzji z książki Boya p. t. „Brewerje“, pisał wytrawny krytyk „Czasu“ p. A. O. — odradzając Boyowi dalszego tłumaczenia „Komedji ludzkiej“ Balzac'a, co następuje: „Czyżby już więc nie było praktyczniej dać pokój Balzac'owi a zacząć tłumaczyć najciekawsze rzeczy z współczesnej beletrystyki francuskiej, choćby... Prousta, w którym Boy powitał tak gorąco nowe słońce literatury?“...

Szczęśliwie się stało, że Boy nie posłuchał rady i powitawszy nowe słońce paryskie nie próbował ściągnąć go na naszą ziemię. Literatura zyskała na tem kilka przekładów arcydzieł trwałych i wieczystych, ogółowi zaś czytającemu i młodzieży polskiej oszczędzono na razie nieznanych emocyj i dreszczów przy lekturze zbytecznych rarytasów. Coprawda nie na długo.

Już bowiem teraz właśnie „Międzynarodowa Agencja Literacka“ z Paryża (N. R. F.) rozsyła prospekty zapowiadające polskiej inteligencji pełny komplet tłumaczonych 20 dzieł. „Balzac'a naszych czasów“.. M. Prousta.

Pytamy poco? Poco to uprzystępniać szerokim rzeszom? Niechajby tam sobie kliki snobów i poszukiwaczy nowych sensacyj czytywały te tomiska w oryginale i delektowały się zakalcami o mocnej, korzennej przyprawie. Ale po co ma na tem wzrok sobie psuć młodzież i... naród...? Nie widzimy racji. Preteksty oczywiście łatwo się znajdą. Tymczasem zaś tyle jeszcze „najciekawszych rzeczy z współczesnej beletrystyki francuskiej“ kwalifikowałoby się chyba przedtem do tłumaczenia! I nie tylko z współczesnej ale i z przedostatniej doby! Małe *menu* mamy pod ręką. Dość powiedzieć, że w polskim języku tak mało naprzykład przekładów takiego prozaika jak Barrès! Powieści tak mocne zwarte, ideologiczne, arcygallijskie, satyryczno-polityczne a dla nas pedagogiczne jak „*Un homme libre*“, „*Une journée parlementaire*“, „*Ennemi des lois*“, „*Au service de l'Allemagne*“, „*Sous l'oil des Barbares*“! nawet „*Colette Baudoche*“ nie są polszczyźnie przyswojone. Starannie przemilczano u nas antygermańską powieść Lotiego „*La Hyene enrangée*“, antygermańskich „Defetystów“ Dumoura i dalszy tom Rene Bazina: „*Les Nouveaux Oberlés*“. Czem objaśnić że dotychczas dziełka na kilkadziesiąt języków tłumaczonego Alain Gerbaulta: „*Seul a travers l'Atlantique*“ nie czyta nasza młodzież marynarska? Ani jedna broszura L. de Montesquiou (choćby „*La Noblesse*“, przeciw ideologji Rousseau), ani jedna z 24-ch książek Leona Daudeta. Jest w tym doborze wybieranych a przemilczaniu niewygodnych bardzo ciekawa strategja. Kto orjentuje się na giełdzie faktorstwa literackiego, ten szybko przejrzy, dlaczego już oddawna są wielokrotnie tłómaczeni i masowo rozszerzani: Ehrenburg, Kessel, Panait Istrati i inni Bernardy i Bernsteiny a dlaczego paryska giełda tłumaczów sabotuje wszystkich tych, co dają duszę francuską a nie perfumowane guano bulwarowe. W tej dziedzinie trzebaby też raz zacząć czyścić stajnię Augiaszową. Nie jest jeszcze zapóźno.

Zapchać tedy rynek księgarski szesnastoma kolejno jeden po drugim tomami Prousta, gdy do tłumaczenia kwalifikuje się poprzód 200 solidnych dzieł świetnych prozaików francuskich, to okazałoby się może... może... dobrym geszeftem, ale kulturalną propagandą dobrego piśmiennictwa francuskiego to nie jest.

Chór synagogalny i jego kantorzy odpowiedzą na to oczywiście *una voce*: Proust jest modny! Proust jest wielki! Proust jest Balzac'iem XX wieku, Stendhalem nowoczesnym, drugim Flaubertem, Proust jest Freudem beletrystyki i t. d. i t. p. Na dowód przytoczą gotowe *excerpta* ze stu krytyk. Można je za nich wyliczyć. Przedewszystkiem po jego śmierci „*Hommage à Marcel Proust*“, z za kulis dobrze wyreżyserowane przez obrotnego *editeura*, z takimi piórami jak Morand, Maurois, Mauriac, Jaloux, Desjardin, Riviere, Cocteau, Valery, Gide i inne Gidy, ba zresztą i Barrès i L. Daudet i Conrad. Wiadomo zresztą, że i nagrodę Goncourtów (1919) wyrobił Proustowi Leon Daudet, nacjonalista.

Jest dalej cały szereg książek entuzjastów: L. Pierre Quinta, *essaye* Gaboryego, Benj. Cremieux, Roberta Dreyfusa, J. M. Aimota, Denis Seurata (w „*Les Marges*“), R. Faya („*Panorama de la litterature contemporaine*“), Benoit Mechina („*La Musique et la immortalite dans l'oeuvre de M. P.*“), de Clermont-Tonnere'a (*Robert de Montesquieu et M. P.*), G. Astruca („*Du Coté de chez Proust*“) Andre Spire'a („*Quelques Juifs et Demi-juifs*“), Rafaela Cora („*Un romancier de la Vertu: Dickens et le peintre du vice*: *M. P.*“) są dalej wspomnienia pani Szejkiewiczowej („*La Revue Hebdomadaire*“ z 17 marca 1928), wspomnienia André Gide'a i wielu innych gide'ów. Napastniczy, wyzywający, jerychoński i skróś snobistyczny kult Prousta w ostatnim roku przeszedł już wszelkie granice oddzielające pietyzm od śmieszności. Zaczęto wydawać już „perjodyki“ poświęcone wyznaniu wiary w Prusta. Wydawnictwo „*Rouge et Noir*“ puściło w świat „*Bulletin Marcel Proust*“ gdzie drukowali swoje patetyczne prace Brahe, Bonnet, Chabannes, Fombeure, P. Audiat, Raynaud... młodziankowie chorujący na Proustomanję; równocześnie powstały propagandowe „*Cahiers Marcel Proust*“, gdzie dla udogodnienia publice zapoznania się z geniuszem dawano wyciągi i rozdziały jako próbki towaru zachęcające nabywców zbyt się ociągających. Równocześnie K. Daudet (nie należy mieszać z Leonem) wydał rodzaj przewodnika, *guide*'a, *cicerone* po galerji Proustoskiej: „*Repertoire des persomnages*“ gdzie jak w herbarzu czy podręczniku dał opis 228 typów i postaci z całego dorobku M. Prousta widocznie atoli nie zbyt sumiennie i skrupulatnie, skoro główny apostoł i propagator Leon Pierre Quint wykazał mu moc błędów, byków i niedokładności.

W Polsce próbowali uderzyć we wszystkie gongi i trąby dotychczas pp. Stern, Pomirowski, H. Nieniewska (pseud.?), Sofja Maliniak i jeszcze kilku, ale jak dotychczas bez żadnego rezonansu. Prawdopodobnie dopiero kiedy paryski nakładca rzuci w Polskę pierwsze tomy tłumaczone, propaganda zacznie się na nowo.

Z Paryża natomiast sygnalizują już pierwsze objawy odpływu wielkiej fali nowego bałwochwalstwa. Nowy fanatyzm szerzej się nie przyjął i nie zaaklimatyzował. Nawoływania muezzinów z literackich minaretów nie wywołują już żadnego nabożeństwa. Moda trwała stosunkowo krócej niż zamyślano, snobizm szuka i nie znajduje nowego bożyszcza. Koneserzy i *gourmand*'zi dochodzą do przekonania, że piła jest zanadto *vieux jeu*, Pierre Audiat w „*Revue de France*“ odsunął czy przesunął Prousta raczej już do klasyków (*sic*:) jakoże Proust jest właściwie Saint Simonem (!) Trzeciej Republiki, opisującym warstwę socjalną tak starą i odległą od nowoczesności, jak

dworska arystokracja Ludwika XIV-tego. Na giełdzie literackiej jest już *baissa* na papiery firmy Proust. Niekiedy odzywają się już głosy zuchwale negatywne i odrzucające cały autorytet.

W wywiadzie z referentem paryskim „Wiadomości Literackich" znakomity myśliciel, autor też niestety nie tłumaczonego jeszcze i nie granego u nas „Dyktatora" Jules Romains wypowiedział się o nowym Balzacu całkiem bez litości:

„Proust jest klasycznym przykładem demoralizacji formy — nie buduje, nie konstruuje. Jest złem, nawet zabójczem zjawiskiem w literaturze".

Louis Bertrand, członek Akademji Francuskiej, cokolwiek delikatniej, ale twardo:

„*Summa summarum* chybiony powieściopisarz o największych ambicjach, istota bolesna i mimo wszystko sympatyczna, człowiek, który miał okrutne poczucie swej niemocy, który z ponurą wściekłością i z furją rozpaczy roztaczał swoje braki, rozszerzał swe rany i który z tego powodu, mimo widocznego kabotynizmu, z racji ubiegania się o prawdę aż do jej najdalszych granic, zasługuje na litość, uwagę i nawet na podziw".

Dwóch innych pisarzy, pisarz wysokiej klasy Marcel Boulenger, oraz „człowiek z towarzystwa", hrabia de Luppé równocześnie bardzo ujemnie zakwalifikowali M. Prousta ekspertyzę i koneserstwo „wielkiego świata", w którym dzieją się wszystkie te bezakcyjne i beztreściwe narracje Prousta. Inni krytycy orzekli, że *„ce ne'st pas du français"*, że Proust „pisał po francusku nogą, nie ręką" a ostatnio omal wyparł go się jego fanatyczny adorant w „*Tempsie*" *„der bekannte"* Paul Souday, chwalący zawsze notorycznie wszystko, co antinacjonalne, hugenockie masońskie, *anti-France*, tym zaś razem na podstawie ostatnich dwóch publikowanych tomów (dziejących się *tempore belli*) zarzucający Proustowi ostateczny defetyzm i brak wszelkiego solidaryzowania się z rasą gallijską, z narodem francuskim, jednem słowem narodowe odszczepieństwo.

Narzucić sobie tedy teraz dopiero M. Prousta jako najgodniejszego reprezentanta piśmiennictwa francuskiego ostatniej doby nie powinniśmy dać tak łatwo i wszelkie w tym kierunku zakusy giełdy literackiej trzeba będzie prześwietlać bez pardonu, tembardziej, że kometa już blednie na nieboskłonie i tembardziej, że to wogóle nie była jedna z czystych, jasnych gwiazd, w które zbyt długo wpatrywać się warto.

Wielki, mocny, choć dziś już przechodzący rozgłos zawdzięcza Marcel Proust głównie swojej życiowej legendzie. Polegała ona na pewnem istotnie imponującem samo-przezwyciężeniu. Mianowicie:

po pierwsze, miał on moc wewnętrzną, aby w 35 roku wycofać się z kretesem z życia i żyć odtąd w osamotnieniu eremity;

po drugie, przez następne 18 lat życia znalazł w sobie moc, aby spisywać swoje życie 35-letnie w pamiętnikowych *memoir*-owych powieściach i tych powieści przeważnie nie wydawać, nie publikować. Z góry trzeba przyznać z rewerencją, że to jest naprawdę bardzo wielka rzecz, to jest niebywałe, to jest unikatowe, tego nie było, w tem tkwi heroizm i samozaparcie znakomitego grafomana. Z życia musiał się wycofać, bowiem był doszczętnie chory, astmatyk, newrotyk, epileptyk, sztucznie podtrzymywawany, wegetujący jak Heine lata całe *„in Matratzengruft"*, w pokoju drzewem korkowem obitym, żeby nie dochodziły hałasy z ulicy, wyjeżdżający na spacer w karecie opalanej z zamkniętemi szybami. Takie życie to w futrze, to w pantoflach i szlafroku było naprawdę Gehenną bohaterską, jeżeli sobie uświadomimy, że leżąc i przesuwając się tylko po dusznem, uperfumowanem mieszkaniu, jakby lazaretowem, pisał i pisał i pisał bez satysfakcji druku, reklam, pochwał, chwały, sławy, zawiści, polemik i rezonansu intelektualnego choćby u najbliższych.

Że w tem był niezwykły gest czy grymas wielkiego, można powiedzieć pana literackiego, gest czy grymas suwereński, gest indywidualności o dużej skali, to chyba każdy przyzna, bo to nie ulega dyskusji. I to musiało zaimponować wszystkim i zasuggerować wszystkich. Na tak definitywnie bezinteresowną sztukę dla sztuki, pisanie dla samego pisania nie byłby się zdobył żaden France, ni żaden Francuz. Ten pisarz wierzył tedy w nieśmiertelność, w swoją nieśmiertelność, zaczem musiał mieć zadatki na pisarza klasy nieśmiertelnych dosłownych, nie tych z Akad. Francuskiej ufraczonych, upalmowanych. Legenda o cierpliwym Hiobie, artyście pisarzu, nie mającym ani cienia normalnej ludzkiej próżności (u geniuszów nawet w wzmożonym procencie notowanej) przygotowała grunt pod przyjęcie jego dzieł, kiedy wreszcie w spuściźnie otrzymane kolejno zaczęły wychodzić z druku. Do roku 35-go Marcel Proust nie miał omal nic w sobie z profesjonalnego literata, z człowieka branży pisarskiej. Kiedyś coś tam pisywał w *„Figarze"* jako „Horatio". Z kilku innymi eleganckimi semitami (Dreyfusem, Halevym, Blumem) założył niby jakiś tygodnik *„Le Banquet"*. Coś tam przelotnie wydał, co nawet poważnie wychwalano. Z gildją literacką atoli mało się zadawał, bo żył, dużo żył życiem wielkoświatowca, bywalca, *viveura*, salonowca, człowieka z *„tout Paris"* z najwyższego towarzystwa.

Marcel Proust, był hybrydą, był dziedzicznie obciążonym owocem skrzyżowania dwóch ras. Ojciec Prousta znany paryski lekarz *en vogue*, hygienista, głęboki, uczony ale wytworny Gallijczyk czystej krwi na starsze lata ożenił się z bardzo bogatą panną Weil ze znanej semickiej dynastji plutokratycznej, z której pochodzą także dwaj inni literaci (Romain Coolus recte Weil i F. Noziere *recte* Weil). Ojca rodzina nie liczyła się, nie egzystowała, matki zaś była bogatą, wpływową, wysoce inteligentną, z wielkimi koneksjami w plutokracji i w „świecie" wogóle. Wątły, brzydki, niski, karłowaty i wiecznie nieco cherlawy Marcel musiał oczywiście optować na rzecz rasy silniejszej, rasy matki. Proust od dziecka był więcej Weilem niż Proustem... *semite transplantée... juif papelard...* Wcześnie wszedł Marcel w świat swojej matki i ukochanej babci Weil. A to był wielki świat bo przemieszany licznymi małżeństwami z zubożałą częścią arystokracji francuskiej, z potomkami Krzyżowców.

Ten świat teraz nadal żyje, choć jego Saint-Simon czy Choderlos de Laclos nie dożywszy 52 roku zmarł. Ten świat, delikatnie obsmarowywała hrabina Martel... Gyp (*„La bonne fortune de Toto"*) a bombami w *semi-demi monde* walił Urban Gohier. To jest ten *tout Paris* z obrazków, z wyścigów, z premier, od Ritza, z lasku Bulońskiego *Paris-galant*, *aristocraches*: księżna Achillesowa Murat z domu Stern, *contessy* de Bearn, de Greffulhe, księżna Grammont, księżna Rohan, hr. de Noailles a wszystko z narodu i rasy *sans patrie et.. cent pour cent*. To jest prawnuczka marszałka Turenne małżonka Artura Meyera, to są te ubaronowane dynastje Pereira, Oppenheim, Bishofsheim, Dreyfus, Reinach, Singer, Bernstein, Helphand, Rotszyld, Ephrussi,

de Lara, Astruc, Blumenthal, często gęsto spokrewnione z niektórymi staremi rodami Francji, *plutocraches*... Shylockracja.

Ten to *tout Paris* z przed wojny, *tout Paris* karykaturowany przed Sema omal fotograficznie, dzisiaj w r. 1929 już dawno postarzały, podtatusiały i ustępujący ze sceny ma być niby tą całą ludzkością, której komedję, daje niby M. Proust w spadku po Balzacu. Otóż już w tem jest przedewszystkiem nieścisłość i brak *raison* w całej *comparaison*. U Balzaca był globus wszystkich warstw społeczeństwa ponapoleońskiego. To zaś jest „*piccolo mondo*“ po Pailleronosku „świat nudów“ *high life* z *fin de siecle*, pasożytna, ale estetyczna i przechowująca tradycje i kanony dobrego smaku i dobrej kuchni cieniuteńka warstwa tylko paryska, Paryż bulwarowy reprezentującą, brylująca, zadająca szyku, protegująca krawców, muzyków, literatów, paryska epiderma, lawa, warstwa cienka ale dość trwała, ścianką odgrodzona od starej staroświeckiej, feudalnej wielkiej arystokracji francuskiej, która dość ekskluzywnie już tylko w swoich *chateaux* siedzi, paryskie swe stare *hotel*'e nawet posprzedawała i z podśmietaniem (cebulą pachnącem) mało się para.

Otóż tę to „ludzkość“, pianę ludzką, szumowinę szampańską, intelektualnie nagazowaną i perlącą się, moralnie problematyczną i mało poczytalną przeniósł M. Proust w swoje 20 zeszytów, ten to świat bankierów, *coulissier*ów, finansistów, ex-aferzystów przemieszanych z Montesquieu'mi, Castellanami, Muratami... i p. Clemenceau (i brat i syn pożenieni z semitkami). Młody Marcel, wątły, bladawy, cherlawy, zakonspirowany obserwował sobie, inwigilował, podpatrywał podsłuchiwał, zapamiętywał i zapisywał przez całe lata i całe okresy, więcej jako Weill niż jako Proust, notując najbłahsze molekuły spostrzeżonek, „smaczków“ i szczególiczków. Synowi dr. Prousta, jeżdżącego po pacjentach i bogatej Betsabe imponowało wszystko co było z *mondanité*, wszystkie te kamyki z mozaiki ceremoniału, *savoir-vivre*, etykiety, rytuału, formalistyki, manier, ususów, odziedziczonych drobiazgów, śmiesznostek, kanonów nietykalnych, czego wszystkiego autor dobrze urodzony by nie dostrzegł, boby nie miał czasu i możności dostrzedz jako akcesorjów najnormalniejszych, zatem nie podpadających pod wzrok, więc niedostrzegalnych. Ten fizycznie bardzo niewydarzony, spadkobierca dandyzmu po Oskarze Wildzie, z nagromadzenia i skolekcjonowania takich detalików i świecidełek (którychby żaden Weyssenhoff nie chciał widzieć) sporządził sobie olbrzymi lamus, stanowiący z czasem *pâtos* jego autentyczności, a co rozmaite Dreyfusy, Spiry i Gidy oraz Malinaki tłumaczą potem krytycznie, pisząc... „czwarty wymiar, który odkrył nam Einstein, Proust wprowadził do literatury...! albo: „on to zapuścił sondę w pozaświadome strony duszy w głąb nie na płask“ (*sic*). I t. p. truizmy i blagi.

Wystarczy przeczytać jeden tom, może jeszcze najmądrzej wybrać: „*Du Coté de chez Swann*“ (1913) i nie koniecznie już potem zagrzebywać się w foljałach „*A la Recherde du temps perdus*“... „*Les Plaisirs et les Jours*“ (1926 z przemową France'a)... „*Albertine disparue*“... „*Le Mort d'Albertine*“ „*La Prisonnière*“ aby przekonać się odrazu o jałowości, zblazowaniu, czczości, wegetatywności, bezcelowności, bezsensie, i nudzie wyszminkowanego bytu tych *precieus*'ów, od czasu do czasu jedzących sobie w sobotę (gdy nikt nie widzi) koszer, delektujących się tygodniami rytuałem obiadu u księżnej Guermantes (podobno Potockiej z Auteuil)—obiadu przez 150 stron opisywanego—cierpiących potem chronicznie i epidemicznie na cukrzycę, egipskie dziedziczne zapalenie oczu, bezsenność (30 stron opisu) i przedwczesną impotencję.

Oczywiście że po zoologicznych chamszczyznach Jacków Londonów i po powieściach amerykańskich o bykach ludzkich, *cowboy*'ach i kretyńskich *captain*'ach industrji ten finezyjny świat wyrafinowanych intelektuelów, senzytywnych delikatnych natur, pełnych *esprit*, dowcipu etc. jako antydotum jest wprost wytchnieniem, nie mniej przeto przez balast semickiej lubieżności, perwersyjności, przez swą propagandę snobizmu jako sztuki i snobizmu jako zasady i metody życiowej, no i przez rozpylony w kartkach, a skondensowany afrodyzjacki *odor judaicus* tych *fleurs du mal* ni do masowego przetłumaczenia, ni do propagowania jako najaktualniejszej beletrystyki gallijskiej się nie nadaje. Gallijskiego w tem będzie zresztą procent minimalny.

Niech tedy i nasze gminy smakoszów i *gourmand*'ów rozkoszują się klejnotami (tekla-perłami) z tego cyklu i tą Prousta pansemicką rozwiązłością treści, zdaniami na kilometr długimi i dziwaczną syntaksą..., niech się rozkoszują istotnie przenikliwą, pedantyczną, wnikliwą wiwisekcją psychoanalityczną, aromatem amoralności i *esprit international*, chemicznem wywabieniem wszelkiej uczuciowości z współżycia tych ludzi Prousta. Niech się emocjonują i zachwycają tem nabożeństwem do nazwisk, tytułów i hierarchji towarzyskiej i tem pandemonium zintelektualizowanego parwenjuszostwa i temi celebrowanemi wizytami i rewizytami Verdurinow i Villeparisow. Niech się dalej nasze snoby i snobinetty nadwiślańskie w oryginale rozkoszują i salonem Swannów i Odettą de Crecy i manierami bankiera Baldassara i romansem Albertiny z... praczką i plastyką portiera z Balbec i samem Balbec i umieraniem Bergotta i rozumem stanu dyplomaty Norpuis i artyzmem muzyka Morela i przebrzmiałą wspaniałością hrabiego Montesquieu, którego kolejno „obrobili“ i unieśmiertelnili Rostand (paw w Chanteclerze) Huysmans („*A Rebours*“) no i Proust w istotnie pono świetnym baronie de Charlus...

Niech nasze wielkomiejskie lubowniki zgniłych serów literackich w oryginale francuskim raczą się Camembertem psychiki tych półdziewic i półmężczyzn, tragedjami opasłych bankierzyc, „spotkaniem z Gilbertą“, kilometrowemi opisami cylindrów, mebli, nakryć stołu i tych przestarzałych już *articles de Paris*, dzisiaj wprost śmiesznych i stęchłych... W tłómaczeniu polskiem ta cała zeprzała *Histoire Cohn-temporaine* jest chyba bez żadnej dyskusji niepotrzebną. Tysiąc książek godziłoby się z francuskiego piśmiennictwa przyswoić raczej, aniżeli tysiąc słów z *memoir*'ów tej zresztą nawet tragicznej rasowej hybrydy.

Dla szerokiego ogółu naszych inteligentnych kół czytelniczych ten cały adoptowany „Balzac trzeciej Republiki“ jest zgoła zbyteczny, jest luksusem. Sympatyczne wrażenie odnosi się z jego legendy życiowej. Dorobek natomiast jego twórczości wedle świadectw bardzo wiarogodnych ekspertów na eksport się nie kwalifikuje. Można się obejść, można wyżyć bez niego. Bez znajomości Balzaca dużo się traci, na poznajomieniu się z Proustem nic nie zyskuje. Tylu jeszcze kontynentów i archipelagów nie znamy, poco nam tedy ta salonowa Chanaan zapadłych już światów?

ADOLF NOWACZYŃSKI

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

SZKIC LITERACKI

Hasło powrotu do przyrody... to hasło walki o najwyższe dobra kulturalne.

J. G. Pawlikowski

III

WŚRÓD pism Pawlikowskiego pewną osobną całość tworzy grupa rozpraw, dotyczących kultury czucia estetycznego.[1]) Do tej grupy należą również zainteresowania w sprawie ochrony przyrody.

Tylko głęboka potrzeba życia estetycznego mogła wytworzyć tę pozorną sprzeczność, że człowiek, poświęcający tyle wysiłku umysłowego i propagandowego sprawie kultury ziemi, bezpośrednio potem staje się obrońcą nietykalności przyrody i dąży do zachowania przynajmniej celniejszych pomników krajobrazu. W autorze rozprawy „Kultura i natura", będącej wspaniałym pomnikiem prozy, jest coś Rousseau'a i Ruskina, raczej drugiego.

Pawlikowski nie propaguje ucieczki od kultury wstecz, jak Rousseau; jego droga wiedzie przez kulturę do natury. To jest jego zasada rozwoju. Idea ratowania pejzażu naturalnego jest marzeniem i postulatem jego jako poety i estety. Pawlikowski w broszurze swojej wiele pięknych kart poświęca uzasadnieniu potrzeby ochrony przyrody argumentami z dziedziny wychowania, wiedzy i uczucia narodowego, w które wierzy i które są słuszne; ale nietrudno spostrzec, że bodźcem afektowym myślenia w tym kierunku są potrzeby poetyckie jego duszy. Powiem więcej — te same potrzeby, które skierowały jego namiętność poznawczą na szczyty wzlotów poetyckich Słowackiego.

Pawlikowski nie przyznaje się nigdy do tych potrzeb, a jednak wszystkie uzasadnienia miłości ku przyrodzie w stanie naturalnym pejzażu dadzą się zamienić, a to jedno zostanie zawsze prawdą, że kontakt z przyrodą niezbędny jest do życia człowiekowi dlatego, iż w niej posiada on cząstkę swojej duszy. Pawlikowski w jednem miejscu nie bez akcentu dramatycznego wypowiada krótko argument najważniejszy, uczuciowej natury: „Człowiek, odkąd pojawił się na ziemi, począł „ujarzmiać" przyrodę. Aż wreszcie ujarzmił ją tak gruntownie, że poczynają mu włosy wstawać z przerażenia, aby w pustce przestrzeni nie został sam na sam — z trupem".[2]) Powiedział te słowa nie ten, który tę przyrodę sam ujarzmiał i uczył ujarzmiać, lecz poeta.

Najkulturalniejszy zdobywca przyrody ujarzmia ją w ten sposób, że między nią a człowieka wprowadza nowy świat, choćby najpiękniejszy, ale biorący początek z wytworu ludzkiego, świat cywilizacji. Jeden tylko poeta nie chce być tak odcięty, bo jego siła tkwi w bezpośredniem połączeniu z tą przyrodą, której równoważnik w stanie surowym leży w nim samym, jako reprezentancie przyrody, mianowicie w jego krwi, w instynktach, w owem „zapomnianem" Abramowskiego, będącem sprawcą wzruszeń estetycznych i mistycznych.

Te wzruszenia — mówi Abramowski — „są to stany, gdzie uczucie kryje jakąś rzecz określoną, której myśl poszukuje usilnie, a nie może odnaleźć, która usiłuje znaleźć swoje wyobrażenia całkowite i pełne, a odnajduje tylko symbole... Jest to czucie rodzajowe zapomnianego".[3])

Jeżeli świadomość zgubiła gdzieś tę „rzecz" z pamięci, to jedynie w przyrodzie, skąd człowiek drogę swoją wywiódł. Nie odnajdzie jej na polach równo uprawnych i wydrenowanych, na drogach szosowych, wśród szpaleru strzyżonych drzew; odciąć go na zawsze od pierwotnej natury pamiątkowej, znaczącej się dzikim krajobrazem — to śmierć dla tęsknoty, która szuka zapomnianego i jedynie w naturze może odnaleźć symbol. To właśnie w czasach odrodzenia liryki za romantyzmu było przyczyną umiłowania przyrody i to działać będzie zawsze, dopokąd istnieć będą indywidualności, mające potrzebę pełnego wypowiedzenia się. Wszystko można zdobyć świadomością intelektualną, wiele zadowolić swoich potrzeb duchowych w nauce opanowania przyrody, w wynalazkach, wykładach, studjach nad cudzą twórczością, ale jednej rzeczy poznanie nie sprosta — odszukaniu „zapomnianego". Tutaj, choćby się kto tego wstydził, jeśli ta potrzeba go nurtuje, musi być poetą.

Bardzo charakterystyczny dla Pawlikowskiego jest sposób, w jaki uzasadnia potrzebę powrotu do natury w duszy człowieka kulturalnego. „Człowiek różnemi drogami powraca tam, skąd wyszedł — pragnie odzyskać to, co utracił. A jeśli sam odbił się od macierzy za daleko, przyprowadza jej przynajmniej napowrót swe dzieci". Tak motywuje Pawlikowski potrzebę wykształcenia przyrodniczego, które ducha odradza. Tutaj będziemy mogli sobie wyjaśnić, ile pełni duchowej Pawlikowski wkładał w system myślenia i poznawania.

„Słyszy się często zdanie — pisze Pawlikowski — że gdy zaczyna się myśleć, to przestaje się czuć... Ale wrażenia natury poznawczej mają swoją własną uczuciową barwę; uczuciowe zabarwienie nie jest bynajmniej przywilejem wyłącznym wrażeń estetycznych. Poznanie daje zadowolenie, które może wznieść się do uczucia żywej radości... Kiedy z wyniosłego punktu spoglądamy na rozległą przestrzeń, doznajemy nieokreślonego uczucia niemego zachwytu, który zbliżony jest najwięcej do ekstazy religijnej. Myśl drzemie, a dusza skupiona w oczach zdaje się bujać w przestrzeni i doznawać jakby fizycznej błogości tego lotu. Ale intensywność tego uczucia, tak jak każdego innego, słabnie w miarę trwania. Myśl zaczyna powracać do samowiedzy, uwaga czepia się pewnych punktów przestrzeni. Już tutaj występują pewne tendencje poznawcze" [4]).

---

[1]) Zaliczam do tej grupy z zakresu estetyki i socjologji sztuki następujące prace: O sposobie przedstawiania barw. Słowo Polskie 1905, nr. 18 (sprawozdanie z odczytu).—O słowie jako elemencie sztuki poetyckiej (odczyt).—O czci poetów. Lamus I 1909, s. 61.—O prochy Słowackiego „Lamus" 1910, s. 49.—O sztuce podhalańskiej w katalogu wystawy podh. Lwów 1911, wstęp 20 stron.—Styl jako zjawisko społeczne „Lamus" 1911-12, s. 66.—Kultura a natura „Lamus" IV i osobno Lwów 1913. Nakładem Sekcji Ochrony Tatr Tow. Tatrz.—Kultura a swojszczyzna (sprawozd. z odczytu) Słowo Polskie 1925, nr. 67.—O uczczenie pamięci Asnyka, Słowo Polskie 1927, nr. 106.

[2]) Kultura a natura, s. 20.

[3]) Abramowski Edward: Czucie rodzajowe jako pierwiastek estetyki i mistycyzmu. „Przegląd Filoz." XIV (1911), s. 178.

[4]) Kultura a natura, s. 14 i n.

Tu następuje bardzo piękny wykład o miłowaniu tego, co nazwane przez nas i odpoznane. „Odpoznanie ma samo przez się wysoką wartość uczuciową“. Na tym fakcie opiera Pawlikowski miłość ziemi rodzimej i patrjotyzm. Rozwojem wiedzy o przyrodzie tłumaczy nowożytny nawrót do przyrody. „Drogą okrężną, przez naukę i w wyższej, doskonalszej formie powraca tutaj ten sam czynnik, który człowieka pierwotnego tak silnie z przyrodą zespalał, to jest — podpatrywanie tajników jej życia... Kultura oddaliła człowieka od przyrody, ale dziś — być może — wiedzie go ku niej napowrót inną drogą i z wygnańca a niekiedy pasorzyta, uczyni może znowu prawym obywatelem jej trójjedynego królestwa“ [5]).

Wykład Pawlikowskiego jest bardzo charakterystyczny dla niego i epoki, w której był wychowany. W psychologji wzruszenia, doznawanego przez obcowanie z przyrodą, wyznacza decydującą rolę poznawaniu. I człowiek pierwotny i uczony zarówno „podpatrują“ przyrodę — dla tego ją kochają, że znają jej tajniki. Radość poznawania wytwarza uczuciowy do przyrody stosunek. Stąd prosty wniosek, że im lepiej naukowo poznajemy przyrodę, tem więcej ją kochamy. Tem się tłumaczy nawrót do przyrody naszych czasów oświeconych. Podobnie wykładał Comte, że samo wyświetlenie w umysłach natury stosunków społecznych rozwiąże trudności życia przez wzmożenie pierwiastka uczuciowego. Poglądowi temu fakty przeciwstawiają inny, że o patrjotyzmie rozstrzyga jakiś moment irracjonalny bez odwoływania się do uzasadnień.

Przedewszystkiem sam Pawlikowski, głoszący powrót do przyrody, nie jest przyrodnikiem. Sposób, w jaki „podpatruje“ przyrodę, jest różny niż u górala surowego, ale bynajmniej nie w stosunku prostym do wiedzy naukowej o przyrodzie. Stosunek prosty zachodzi raczej do stopnia jego kultury humanistycznej. Decyduje o tym stosunku uczuciowym do przyrody zbliżenie poznawcze nie do przyrody zewnętrznej wprost, lecz zbliżenie do — wnętrza własnej przyrody, podświadomie w podłożu aktualności psychicznych spoczywającej i, w miarę pogłębiania się życia duchowego w człowieku kulturalnym, coraz natarczywiej zmysłowo domagającej się uzewnętrznienia. Jest to właśnie pierwiastek poetycki, mający samodzielne w życiu duchowem znaczenie.

Pawlikowski negując psychologicznie ten fakt, odgrywający wielką rolę w jego życiu duchowem własnem, ukrywa swoją poetyckość jako słabość. Tymczasem gdzie jak gdzie ale tutaj *naturalia non sunt turpia*. Kogo stać na to naturalne bogactwo ducha, ten jest bogatszy we wszystkich dziedzinach myśli i działania, bo ten pierwiastek jest bodźcem afektowym wielu innych procesów duchowych. W bezpośrednim zaś zetknięciu ze światem przez zmysły pierwiastek ten jest organem specjalnego poznania estetycznego, które może oddziałać na ożywienie poznania naukowego, ale odwrotnie poznanie naukowe estetycznego sposobu poznania nie wywoła. To nieporozumienie wypływa z poglądu pozytywistycznego, że poznanie jest wyłączną podwaliną życia duchowego. Prowadzi ono do dalszych nieporozumień, że człowiek kulturalny zapiera się siebie, swoich uczuć, nie tylko talentu poetyckiego, aby go nie pomówiono, że jest romantykiem, wierzącym w istnienie *animae abdominalis*.

Wracam jednak do Pawlikowskiego. W rozprawie, o której teraz będzie mowa, p. t. „Styl jako zjawisko społeczne“ [6]) Pawlikowski wygłasza jeden z zasadniczych swoich poglądów filozoficznych: „Jest to pospolitym a ciężkim błędem mniemać, że wszelkie konflikty i sprzeczności muszą być kiedyś jakoś rozwiązane. Tymczasem są sprzeczności, które są poprostu pewną formą bytu. Zniesienie ich jest śmiercią“. W umyśle Pawlikowskiego nigdy zagadnienie to nie zarysowało się alternatywnie jako zagadnienie wyboru: kultura czy natura? Losem człowieka jest kultura, przenoszenie się ze świata przyrody do świata duchowego, gdzie wszystko jest wytworem ludzkim z człowiekiem samym włącznie. Kultura jest procesem i stanem społecznym, i jakkolwiek urastałaby przez nią w potęgę indywidualność jednostki, to jednak — jeśli ta kultura jest zupełna i uwrażliwia człowieka do głębi — jednostka prędzej czy później spostrzega, że droga, którą przebyła, oddalając się od swego stanu naturalnego, coraz się zwęża i zaciera — maluczko a zostanie odcięta od swych źródeł. A przecież im zawdzięcza ona poczucie swego ja, tam jedynie mogłaby zupełnie być sobą, gdy gdzieindziej jest wytworem i cudzą własnością. Człowiek kultury dopiero zaczyna kochać przyrodę świadomie i szukać bezpośredniej z nią styczności. Tej tęsknocie, nieraz dramatycznej, bo z konfliktu wynikającej, zawdzięcza rozwój sztuka. Ona reguluje życie człowieka kulturalnego, doprowadzając je do równowagi; nie rozwiązuje sprzeczności, ale godzi człowieka z tą formą bytu, która jest jego losem. Równowagę więc swoją człowiek zawdzięcza owemu rezerwatowi przyrody, jaki się w nim zachował w postaci zmysłu estetycznego.

Sztuka ze wszystkich dziedzin twórczości kulturalnej jest najbardziej osobistą, bo tam znajduje człowiek ujście poufne dla swej jaźni, niemniej jest także, jako dzieło kultury, funkcją społeczną i należy do cywilizacji. A wszystko co należy do obrotu cywilizacji ma swój styl, jako modłę. A więc „styl jako zjawisko społeczne“.

„Dlaczego — zapytuje Pawlikowski — w pewnem miejscu i czasie pewien sposób artystycznego tworzenia staje się obyczajowym? I oto sedno rzeczy: styl — to obyczaj; określić go możemy jako obyczajową formę sztuki. Jest on zjawiskiem społecznem. Badanie jego najgłębszej istoty należy nie tyle do historyka sztuki, ile do socjologa.

„Obyczaj ten jest tradycją i normą, jest węzłem, łączącym ze sobą członków pewnej grupy ludzkiej i węzłem łączącym pokolenia żyjące z umarłemi. Pod jego wpływem gromada staje się ze zbiorowiska organizmem, nabywa cech psychicznych organizmu, pamięć, charakter.

„Dzikie, bezplanowe, wielokrotne krzyżowanie dawało zawsze pokurcza, podobne sobie znowu pokurcza płodzące, póki nie odrodziła się znowu przez stałe działanie krew jednolita, jedyne źródło harmonji, trwałości formy i przymiotów charakteru, stylu. Po epoce izolowanych społeczeństw dawnych wieków nastała era kosmopolitycznego liberalizmu i komunikacji, era bezplanowego krzyżowania form i i idej w obyczajowości i sztuce, era kultury bez charakteru i stylu. Odradzający się nacjonalizm ma zadanie nie przez powrót do dawnych form przeżytych, ale w formach nowych na spiralnej linji postępu powrócić kulturze styl i charakter.

„Obyczajowa forma sztuki jest najlepszą rękojmią wartości artystycznej wytworu. Można powiedzieć, że ta właśnie stylowa norma jest w tych wypadkach szkicującym projekt artystą...

„Dzieła sztuki indywidualnej są to jakby obrazy lub rzeźby ustawione w muzeum; każda z nich istnieje tylko dla siebie. Styl, obyczajowa forma

[5]) Tamże, s. 18. [6]) Lwów 1912. Odbitka z „Lamusa“.

sztuki tkwi w otoczeniu, dopełnia je i harmonizuje. A te pierwiastki harmonji jak z jednej strony równają i ujednostajniają, tak z drugiej znowu są źródłem wyodrębnienia. Przez nadanie fizjognomji właściwej wyodrębniają one okolice, plemiona, narody, jak język, jak obyczaj. Stają się węzłem społecznym, stają się rysem twarzy zbiorowego człowieka, jednym z pierwiastków, organizujących grupę społeczną w indywiduum. Ta zaś twarz właściwa jest tem, co nazywamy kulturą.

„Wybitna indywidualność — to w gruncie rzeczy jednostka ogniskująca w sobie w szczególnie szczęśliwy sposób charakterystyczne cechy gatunku, który ją wydał, to człowiek rasowy... Indywidualność jest emanacją cech gatunkowych. Im bardziej zindywidualizowany jest gatunek, im więcej posiada własnego stylu, tem lepsze stanowi podłoże dla wydania z siebie takiej indywidualności. Rasy nieustalone wydają niespodzianki, ale te niespodzianki będą to najczęściej dziwolągi, a nie dziwowiska natury. Jednostki idealnie sharmonizowane wychodzą z ras ustalonych. Cechą zaś psychiczną takiej rasy jest skonsolidowany charakter, stylowość ich form obyczajowych... Twórczość stylowa, ten owoc zbiorowego ducha rasy, wydaje nasienie twórczego indywidualizmu".

I oto widzimy wspaniałe rozwiązanie powrotu do siebie po przez kulturę ze stanowiska ogólnej teorji rozwoju. Przez kulturę, przez styl — do natury! Oto hasło Pawlikowskiego.

Dopiero przez związanie tych dwu rozpraw o naturze i o stylu wyrozumieć można stanowisko Pawlikowskiego, godne najpiękniejszych czasów humanizmu. Widzi on człowieka w dwu planach, które są jego losem: przyrody i stylu. Ta dwoistość nie jest sprzecznością, którąby można rozwiązać przez wybór, lecz formą bytu człowieka, powołanego do wytwarzania nad przyrodą, ale w stałem z nią porozumieniu, nowego świata czysto ludzkiego, budowanego w drodze kultury a w pewnym stylu. Świat humanistyczny w szerokiem znaczeniu, świat cywilizacji, nie jest światem tworzonym przeciw naturze, a różność jego stąd pochodzi, że zbudowany już na prawach ducha i duchem przenikniony. Jeżeli gdzie może się dziać dramat z powodu tego rozdwojenia światów — to w duszy jednostki, która w sobie—jako reprezentantka i kultury i przyrody—te światy jednoczy i przepuszcza przez siebie, jak ciemnia optyczna przepuszcza promienie.

Jest to dramat poetów, właściwy zresztą wszystkim naturom bogatszym, ale stanowiący jedną z tych goryczy, która życiu dodaje woni i rumieńca. Bo jest w niej żar, jest podnieta. Ona upaja w tworzeniu kultury, że z życia chciałoby się uczynić poemat.

Kapitalne swoje dzieło literackie [7]) „Mistyka Słowackiego" Pawlikowski wydał w r. 1909. Weszły do niego między innemi odczyty, wygłoszone w Związku Naukowo-Literackim w latach 1904 — 1907. Rzecz charakterystyczna, że w owych latach, kiedy Pawlikowski porzucał potrochu pracę nad ekonomją i agronomją, energja jego umysłowa kierowała się na zakopiańszczyznę i na Słowackiego. Myśl jego, zanim dotarła do późniejszego przedmiotu opieki nad samą przyrodą gór, poprzednio zatrzymała się na tworze kultury ludu górskiego. W Związku Naukowo Literackim toczyły się na temat stylu zakopiańskiego długie debaty. Pawlikowski „powracał do natury" przez sztukę, ta bowiem ma w naturze człowieka najbliższy kontakt z przyrodą. Ten związek głęboki, do którego Pawlikowski sam przed sobą się nie przyznawał, między jego uczuciowością poetycką a żądzą poznawczą, miał swój wykładnik w życiu młodzieńca, który z zapałem oddawał się taternictwu i wrażenia swoje, jako student uniwersytetu krakowskiego, ogłaszał. Już wtedy interesował się poznawczo poezją, czego dowodem artykuł o „Darwinizmie w poezji" (1889), kiedy swoją własną poezję wykonywał całym organizmem.

Natury poetyckie realizują poezję w górach w rozmaity sposób. Góry porywają ludzi tłumnie ku sobie, na to, by im mimowiednie nieraz hołd składali; z tła tych wzruszeń, somatycznego przedewszystkiem pochodzenia, wyrywa się poryw talentów muzycznych, plastycznych i literackich [8]). Do poetyckich hołdowników Tatr należy Pawlikowski. Natura i kultura wzięły go w dwa obroty. Duch wielkich ambicyj intelektualnych, ogarniający w czasach pozytywizmu młode umysły, opanował Pawlikowskiego tem łatwiej, że z urodzenia i środowiska należał do elity kulturalnej społeczeństwa, a z ojca spływał na niego obowiązek chorążowania hasłom rozumu i postępu. Stylem osobistym Pawlikowskiego stała się postawa poznawania wszystkiego przez ujęcie intelektualne. Ale ja to nazwę tylko stylem, drugą naturą Pawlikowskiego, która tylko pokryła rozbudzoną od młodości w górach właściwą naturę poetycką, gdzie był sobą ze swojej istoty osobistej.

I tu nastąpiło ciekawe zjawisko psychologiczne— jakie połączenie znalazły dla siebie te dwie natury: przyrodzona i stylowa. Pawlikowski uczynił z poezji przedmiot poznawania. Ciekawość gór, poruszona wrażeniem, jakie czynią, przeradza się w żądzę taternictwa, którą się nazywa żądzą poznawania gór; Pawlikowski swoją własną poetyckość wtopił w żądzę poznawania szczytów poetyckich. Taką Łomnicą był dla niego Słowacki, który sprawia w czytaniu takie sensacje duchowe, jak zdobywanie bezpośrednie szczytów górskich. Pawlikowski, wczytując się w niego, badał prądy wichrów, na których waży się orzeł. Dzieło jego o mistyce Słowackiego jest owocem taternictwa duchowego [9]).

(D. n.). ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[7]) Dla informacji przytoczę prace literackie Pawlikowskiego: Darwinizm w poezji — Tyg. Ilustr. 1889, nrnr. 220—224.—Ze studjów nad Królem Duchem: Popiel. Słowo Polskie 1904, nr. 68.— Sen anheliczny Mieczysława. Pamiętnik Liter. 1906. — Źródła i pokrewieństwa towianizmu i mistyki Słowackiego. Pam. Liter. 1908, VI 447 i VII 90.

Mistyka Słowackiego. Lwów 1909. H. Altenberg, s. 548.

Słowacki w okresie mistycyzmu. „Lamus" I Lwów 1909, s. 61. — O układzie dyalogów genezyjskich. Pamiętnik Liter. 1921, s. 64. — O dyalogach genezyjskich Słowackiego. Spraw. Tow. Nauk. we Lwowie I 1921, s. 76. — Z genezy kompozycji Króla Ducha (Beniowski), Spraw. Tow. Nauk. we Lwowie II, 1922, s. 3.—O nowem wydaniu Króla Ducha. Tamże III, 1922, s. 97.

Słowacki. Król Duch. Wydanie zupełne, komentarzami opatrzył J. Gw. P. Tom I (tekst) s. 608, t. II (komentarz) s. 500. Lwów 1925. H. Altenberg.

Janowi Kasprowiczowi na pożegnanie. Wierchy IV 1926, s. 1. — Święto matek. Myśl Narodowa 1927, nr. 15. — Plagiat makbetowy. Kur. Pozn. 1927, nr. 284. — Chronologja pism genezyjskich i rozwój genezyjskich pomysłów Słowackiego. Pamiętnik Liter. 1927, s. 265—290. — Na marginesie pism genezyjskich Słowackiego I. Zawartość przyrodnicza Genezis z Ducha. Pam. Liter. Lwów 1928.

[8]) O psychologji sensacyj górskich w związku z poezją pisałem obszerniej w szkicu „Poezja gór". Ob. moje „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim". Warsz. 1927.

[9]) W poprzedniej części tego szkicu na str. 72 szp. 1 w. 24 trzeba poprawić błąd: powinno być „skarbów" (nie środków), — a w przypisku 9 w. nazwisko autora Gałeckiego (nie Pałeckiego).

LIBERUM VETO

Ciągłość rozwojowa. — Stwórcy nowości. — Bezmyślne naśladownictwo. — Szał sportowy. — Czujna troskliwość narodów o flotę morską. — Nasza obojętność i skąpstwo.

WSZELKIE gwałty polityczne, przewroty, zamachy, burzenia historycznie wytworzonego ustroju społecznego mają, między innymi, ten skutek, że niszczą w narodzie uczucie potrzeby i uznanie ciągłości rozwoju. Jest to pewnikiem, wielokrotnie stwierdzonym, chociaż wyśmiewanym w jasełkach i na trybunach demagogicznego radykalizmu, że ten tylko układ stosunków społecznych, te tylko instytucje i formy życia zbiorowego są mocne i trwałe, które powstały ewolucyjnie z pierwiastków i czynników istniejących w przeszłości. Niejedną prawdę przywieszały sobie jako dzwonek do błazeńskiej czapeczki wesołki, stwarzające nowy świat z dnia na dzień, więc i ta służyła do popisów cyrkowych, mimo to nie straciła ona swojej wartości. Jaką ona nadaje narodom i państwom ciągłość rozwoju, najoczywiściej przekonywa Anglja, która z największą ostrożnością pozbywa się przeżytków, która dotąd nie zmieniła twardego krzesła jako tronu dla koronacji królewskiej, nie zniosła najdziwaczniejszych zwyczajów, nie zdjęła nawet peruk z głów marszałków parlamentu i cudacznego stroju z nowowybranego lorda majora. Nie chcę tego skostniałego konserwatyzmu zalecać jako koniecznego hamulca dla zbyt pośpiesznego postępu, zaznaczam go tylko jako ilustrację rozumnej zasady.

Pierwsi budowniczowie naszego wskrzeszonego państwa pogwałcili ją bezmyślnie. Nie wpatrzyli się oni w naturę i przeszłość narodu polskiego, postanowili nanowo go stworzyć, dać mu normy życia zupełnie obce, lub — co gorsza — lichą fantazją zaimprowizowane. W tym kierunku poszły również dalsze dopełnienia i przekształcenia, które są albo wyskokami nieudolnej oryginalności albo małpiem naśladownictwem obczyzny. Widzimy to zarówno w pomysłach organizacji państwa, które po dziesięciu latach niepodległego istnienia nie może jeszcze wydobyć się ze stanu zamętnych przygotowań i przeróbek, ale również w organizacji życia społecznego. Mając prześliczne tańce i zastosowane do nich utwory muzyczne, rzuciliśmy się w obrzydłe, bezwstydne i głupie pląsy ludów dzikich, przypominające tarła ryb, rzucających ikry i mlecze. Naśladując Anglików, w których z naturalnych przyczyn wyrosło zamiłowanie do rozmaitych sportów, dochodzące do obłędu, wpadliśmy w szał sportowy. Zastrzegam się przeciwko podejrzeniu, jakobym lekceważył ćwiczenia fizyczne, których wpływ pedagogiczny i hygjeniczny rozumiem i wysoko cenię. Ale przestają one być pożyteczne, kiedy rozrastają się w przesadę i pochłaniają ogromną ilość energji, potrzebnej do przeznaczeń ważniejszych. Ślizgawki na nartach, hockeye, piłki nożne, tennisy, walki w „meczach", „pięcioboje", zdobywcy „bramek", bokserzy, atleci, zwycięzcy w zawodach, wyprawy na igrzyska — wszystkie te bohaterstwa i zapasy nabrały takiego znaczenia, jak gdyby rzeczywiście były najpiękniejszym kwiatem kultury i najwspanialszym przejawem energji narodu. Całe stronice gazet zapełnione są sprawozdaniami z tych walk i popisów, podczas gdy nieskończenie ważniejszy przedmiot naszych wysiłków nie zwraca uwagi ogółu. Na nim właśnie pragnę ją dziś zatrzymać. Czytelnicy gazet zagranicznych wiedzą, jaką czujnością i troskliwością otoczona jest tam żegluga morska. Narodziny każdego nowego statku większej miary ogłaszane są w dziennikach, posuwania się okrętów śledzone ściśle, rzec można, że całe społeczeństwo towarzyszy im w dalekich podróżach. A my? Prawda, że nie mamy wielkich statków handlowych i wojennych, ale ta młoda i nieliczna flota, która jest naszą chlubą, nadzieją i ratunkiem, powinnaby budzić w społeczeństwie szczególną troskę i zainteresowanie. Tymczasem jak my wobec niej zachowujemy się? Czy wiadomości o niej zajmują w naszych gazetach setną część tego miejsca i uwagi, co doniesienia o sportach, o skokach narciarskich wzwyż i wzdłuż, o turniejach piłki nożnej? Gimnaziści i pensjonarki znają dokładnie wszystkie „mecze" w kraju i zagranicą, nazwiska wszystkich znakomitych „bramkarzów", ale nie znają ani ilości, ani wielkości, ani imion, ani podróży statków polskich. Wychodzi miesięcznik p. t. „Morze". Jest to pismo niezmiernie ciekawe, a zarazem bardzo wymownie odbijające naszą obojętność dla jego przedmiotu. Otwiera ono czytelnikom polskim świat nowy, dotąd zupełnie im nieznany, ten świat, w którym narody europejskie ciągle przebywają myślami i czynami, w którym mieszczą się ich najżywotniejsze zamiary, dążenia, przedsięwzięcia. Anglicy, Francuzi, Włosi, Niemcy, Hiszpanie, Grecy, Szwedzi, Duńczycy i t. d. uważają morze za swoje płuca i nie wyobrażają sobie bez niego istnienia, są przekonani, że udusiliby się, gdyby im zbrakło tego oddechu, odświeżającego im krew, dającego zdrowie i siły. To nie jest tylko nasza uciecha z posiadania portu własnego, to nie są tylko nasze marzenia o wynajęciu sobie na lato mieszkania nad morzem, o wylegiwaniu się na plaży, opalaniu ciał, kąpielach i spacerowaniu pół-nago po wybrzeżu i ulicach Gdyni, to nie jest tylko przyjemne, swawolnym flirtem, tańcem i łódkowemi wycieczkami urozmaicone spędzanie czasu, to jest coś więcej, coś tak wielkiego, że na tym związku z morzem opiera się życie narodu, jego bogactwo, jego potęga, jego kultura. My jesteśmy dopiero przy alfabecie tego zrozumienia, dostęp do Bałtyku jest dla naszego ogółu dopiero cackiem darowanem nam niespodziewaną łaską losu. Wspomniany miesięcznik opisuje podróż „Lwowa" z Konstantynopola do Gdyni a „Niemna" opływ północnej Afryki; ile załogi tych okrętów doznały głębokich wzruszeń, wywołanych myślą, że polskie statki po raz pierwszy w naszych dziejach krążą po dalekich wodach, że po nich roznoszą radosną zapowiedź szczęśliwszej przyszłości narodu, marniejącego tak długo w niemocy i niewoli. Czy nasza prasa opowiadała swoim czytelnikom o tych podróżach i zachwytach? Czy nasz ogół je odczuwał? Bynajmniej. Ale zato dowiadywaliśmy się szczegółowo, kto najdalej rzucił dysk, kto najwyżej skoczył, kto najwyżej podbił nogą piłkę, kto najprędzej przyjechał konno do mety—w Ameryce, w Holandji, w Szwajcarji lub w Polsce. Zgodnie z tą obojętnością społeczeństwo spycha obowiązek stworzenia floty na rząd, a rząd na społeczeństwo. Po obu stronach jednakowa chęć wymknięcia się temu obowiązkowi. Z ogromnych sum wydawanych na fundusze dyspozycyjne, na podróże dyplomatyczne, na karmienie służby dziennikarskiej, na obdarowywanie faworytów, na stalówki dla dostojników pocztowych, na emerytury dla uwolnionych przedwcześnie urzędników, na koszty ich przerzucania, na uczty polityczne, na zbyteczne samochody i inne niezliczone a marnotrawne wydatki, z których się składają przekroczenia i deficyty budżetowe, z tych miljonów możnaby zbudować niejeden okręt. A społeczeństwo? Z jego skąpych kieszeni kapią krople ofiarne na żeglugę polską, z których zaledwie można sprawić skromną motorówkę. Ogół jest biedny, ale w nim

są bogacze. Znaleźli się magnaci, którzy setki tysięcy złotych stracili na polowania w Azji i Afryce i których wspaniale wydane opisy podziwiamy bez żadnej urazy z dziecinnym zachwytem, ale niema tych hojnych panów przy kweście na flotę polską. I my wierzymy, że ona powstanie, że dorówna swą liczbą i siłą potędze morskiej naszych wrogów, że nas od nich zabezpieczy? Gdy naokoło naszego kraju gromadzą się groźne chmury, my wesoło gramy w tennisa i podrzucamy nogą piłkę w przekonaniu, że tym sposobem zażegnamy burzę i że zwycięstwo na igrzyskach międzynarodowych zapewni nam zwycięstwo w międzynarodowej wojnie. Naiwne z nas dzieci! Nie rozumiemy jeszcze tego, co przed kilkuset laty rozumieli niektórzy z naszych królów. Ciągle się spóźniamy zarówno w złem, jak dobrem.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

W STUDZIEŃCU

DOCHODZENIE karne, wszczęte przeciwko wychowawcom zakładów poprawczych w Studzieńcu, którzy ułatwiali sobie zadanie katowaniem niesfornej młodzieży, wstrząsnęło opinją publiczną. Czytamy z tego powodu w dziennikach słowa oburzenia i słuszne, ale nie stojące na wyżynie porady publicystycznej. Cały nacisk kładzie się na barbarzyństwo jednostek, które tych sposobów się imały. Sąd, dajmy na to, ukarze tych, którym winę udowodni. Pozostanie jednak nadal otwarta kwestja społeczna. Bo gdzież leży istota rzeczy?

Kolonje poprawcze — trzeba z tego zdać sobie sprawę — są zbiorowiskiem ściągniętych z całego kraju klęsk, jakie poniosła cywilizacja w walce z dzikością, nie dającą się oswoić społecznie. Jeżeli celem wychowania jest uspołecznić, nawet ogładzić, to w tych wypadkach sprawa zły wzięła obrót. Do Studzieńca dostają się jednostki chore na najcięższą z chorób — zanik instynktów społecznych.

Ze starszymi chorymi społeczeństwo radzi sobie w ten sposób, że ich wycofuje z obiegu do więzień, udaremnia ich złą działalność, stara się nawet tam leczyć; na dzieciach, na młodzieży próbuje środków leczniczych w zakładach poprawczych, nie tracąc nadziei, że uda się z tego coś zrobić przez specjalną hodowlę.

Zakłady poprawcze należą nie tyle do instytucyj humanitarnych, jak przytułki i szpitale, ile do tych ratunkowych, któremi społeczeństwo ratuje się od rozstroju i dziczenia. Wyobraźmy sobie, że ta młodzież zebrana w Studzieńcu, rozsypana jest po szkołach. Wszystkie szkoły, dotknięte tą plagą, byłyby w działalności wychowawczej sparaliżowane. Ile dzieci w Studzieńcu, tyle uratowanych rodzin.

Zakłady poprawcze — to organy tragicznej selekcji, której dokonywać musi społeczeństwo, żeby móc spełnić przeznaczenie cywilizacyjne. Fundator zakładów w Studzieńcu Kicki był wielkim dobroczyńcą. Jego myśl trzeba rozumieć. Nie załatwia sprawy tkliwy publicysta, nawołujący do humanitarności jedynie tym argumentem, że to przecież dzieci polskie. Fałszywy akcent. Bo gdyby nie były polskie, to co? Kto inny radzi upaństwowić Studzieniec. Ależ to nie więzienie, to szkoła poprawcza! Tam sprawić coś może nie regulamin i strach, lecz wielkie miłosierdzie i genjusz wychowawczy. Tam trzeba dać nie biurokratów i policję, lecz to, co społeczeństwo ma najbardziej wnikliwego w tajemnice duszy ludzkiej.

Studzieniec należałoby oddać pod kierownictwo światłemu, ćwiczącemu cnoty cierpliwości i miłosierdzia zakonowi, np. OO. Salezjanom. Żeby najstaranniej dobierać wychowawców z pośród ludzi świeckich, szukających zarobku, nie znajdzie się w dzisiejszem społeczeństwie doboru ludzi odpowiednich. Oni wpierw zdziczeją, a tamtych nie wychowają. Nierówne siły.

Z. W.

CUD NAD WISŁĄ

LUDZIE bez wiary utrzymują, że niema cudów na świecie, a wierni, lecz zgorzkniali powiadają, że czasy obecne niegodne są cudów. Poco tu jednak wiara lub niewiara, kiedy wystarczy szerzej tu i owdzie oczy otworzyć, by ujrzeć cuda niewątpliwe. Taki cud wydarzył się, naprzykład, nad Wisłą, gdzie po wojnie światowej w ciągu jednego dziesięciolecia rasa ludzka zmieniła się do niepoznania. Z podziwem opowiadają o tem cudzoziemscy uczeni, zwłaszcza antropologowie. Organizuje się nawet ekspedycja naukowa do Polski celem zbadania tego cudu na miejscu...

Przyjaciele nasi zagranicą znają rasowy typ polski, a to z portretów uczonych naszych, polityków, działaczów społecznych i artystów. Otrzaskani są nawet z typowem brzmieniem nazwisk polskich. Niektórzy subtelniejsi i bardziej wnikliwi dobrze orjentują się w głównych rysach duchowych twórczości polskiej w sztukach plastycznych, muzyce i w poezji. Otóż ich właśnie przedewszystkiem uderzyła nagła i karkołomna przemiana w portretach, które im podają ilustracje polskie, w podpisach, które wciąż spotykają w naszych tygodnikach, oraz w dziełach sztuki, które im do rąk trafiają.

Dawniejszy, „przedwojenny" typ polskiego artysty lub publicysty był niewątpliwie słowiański, a w każdym razie aryjski. Obecnie zastąpił go typ biegunowo przeciwny. Włosy kędzierzawe i lepkie. Czoła niskie i wklęsłe, albo idjotycznie wypukłe. Uszy odstające, brudnawo-czerwone, żółto żyłkowane, jak rydze ogromne, wprost z ziemi wyjęte. Oczy czarne, sprytne, rozlatane, albo ciężkie jak ołów i złe. Szczęki i podbródki wiszące od ciężaru tłuszczu i kości dyluwjalnych. Nosy garbate, nalane, zakrzywione ku ustom. Wargi wzgardliwe z grymasem wstrętu obrzydliwego. Wyrazy twarzy aroganckie i tchórzliwe.

Również widoczna jest dla cudzoziemców nagła zmiana nazwisk. Sama niemczyzna, ale w szczególnych, nie-niemieckich zestawieniach — „bergi", „blatty, „ery" i „szwery", albo cudaczne, z melodramatycznych romansów pretensjonalne i siarczyście sarmackie „ski" i „wicze". W treści dzieł i prac niezwykłe obniżenie poziomu, atmosfera moralna handlarzów żywym towarem, wyobraźnia geometryczna i przyrodzie z gruntu obca, co jedno już jest objawem, który za cud poczytać można w rasie aryjskiej. Wszystko to razem zwróciło nareszcie uwagę sfer naukowych w Europie zachodniej.

Uczeni utrzymują, że zmiana tak nagła i wielka mogła powstać tylko na skutek jakiejś żywiołowej katastrofy. O ile wiadomo, nie nawiedził Polski potop, ani ją do góry dnem przewróciło trzęsienie ziemi. Nie było w tym czasie wiadomości czy to o straszliwej rewolucji, czy o wojnie potwornej, lub najściu hord tatarskich na Polskę. Nie słyszano też o epidemji, któraby naród polski tak doszczętnie zniszczyła, a jakiś inny w kraju rozmieściła. Słowem—zagadka, która

tak świat naukowy zaintrygowała, że organizuje się uczona ekspedycja.

Przyjęciem tych gości zajęły się już, podobno, „Wiadomości Literackie". Ma być zorganizowany szereg ułatwień dla orjentacji uczonych, — demonstracje teatralne, odczytowe, klubowe, redakcyjne, salonowe, gabinetowe i tym podobne. Powstał komitet przyjęcia z panem Boyem na czele, Breiterem w środku i Watem w ogonie. Uchwalono, między innemi, zasadę, że o ile uczeni natkną się przypadkiem na jakiego tubylca, należy go przedstawić jako mniejszościowego przybysza z księżyca. A zresztą przyczyn zjawiska niech dochodzą sami. Słusznie, godnie i objektywnie!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

PAKT KELLOGA

RZĄD przedłożył Sejmowi do ratyfikacji pakt paryski, zwany powszechnie „paktem Kelloga". O przyśpieszone podpisanie tego paktu toczą się rokowania między Polską a Rosją, senat Stanów Zjednoczonych po dłuższej dyskusji pakt ratyfikował. Za tym przykładem pójdą inne państwa, niebawem więc potępienie wojny stanie się obowiązujące...

Czy pakt ten zmieni cokolwiek w biegu wydarzeń? Czy rzeczywiście uroczyste potępienie wojen przyczyni się do zapobieżenia zbrojnym starciom wśród narodów? Kto zna dzieje ludzkości, ten musi być sceptykiem w tej dziedzinie. Wojny wynikają z natury rzeczy i z natury ludzkiej. Dobre chęci rządów i najuroczystsze zobowiązania nie wpłyną na bieg historji. Trzeba zmienić naturę rzeczy i naturę ludzką, by istotnie uniknąć wojen. Dopóki takie zmiany nie nastąpią, dopóty wszelkie pakty w rodzaju paryskiego będą tylko wyrazem dobrej woli i dobrej chęci...

Zdają sobie dokładnie z tego sprawę rządy i opinja publiczna we wszystkich krajach. Wszak ratyfikacja „paktu Kelloga" w Stanach Zjednoczonych doszła do skutku tylko dlatego, że dyskusja, przeprowadzona w senacie wykazała, iż nie posiada on żadnego realnego znaczenia, a sprawozdawca i wielki zwolennik paktu, senator Borah zgodził się na stwierdzenie w swem sprawozdaniu, że ratyfikacja paktu w niczem nie narusza doktryny Monroego (to znaczy pozwala Stanom na interwencję zbrojną w Ameryce) i nie wzbrania wojny obronnej. Anglja przed podpisaniem paktu zrobiła wyraźne zastrzeżenie, że nie zrzeka się zbrojnej interwencji w granicach swego imperjum. Francja stwierdziła kategorycznie, że nie wyrzeka się wojny obronnej... Równocześnie prawie z rozprawami nad „paktem Kelloga" dowiedzieliśmy się, iż senat Stanów Zjednoczonych rozprawia nad uchwaleniem kredytów na budowę 15 krążowników, iż nowy program zbrojeń morskich jest przygotowany we Francji i we Włoszech... Są to chyba dowody dostateczne na to, że rządy wielkich mocarstw nie biorą paktu na serjo i nie widzą w nim istotnej gwarancji bezpieczeństwa.

Rząd polski „pakt Kelloga" podpisał, a parlament nasz będzie go z pewnością ratyfikował. Polska potrzebuje pokoju, dlatego będzie obecna wszędzie tam, gdzie można będzie stwierdzić, że dogmatem polityki polskiej jest dążenie do pokoju. Lecz byłoby wielkim błędem, gdyby kierownictwo polityki polskiej uważało, że przez podpisanie i ratyfikację paktu przez państwa Europy środkowej i środkowo-wschodniej, powiększa się bezpieczeństwo naszej całości i niezależności. Co więcej, należy stwierdzić, że przez podpisanie „paktu Kelloga" wytwarzają się p o z o r y bezpieczeństwa. Gdybyśmy zaś (państwo i opinja publiczna) wzięli te pozory za rzeczywistość, następstwa tego mogłyby być fatalne, bo wówczas weszlibyśmy na drogę do moralnego i materjalnego rozbrojenia, czyli do zniweczenia istotnych, jedynie realnych gwarancyj bezpieczeństwa.

Niemcy nie ukrywają wcale swoich zamiarów rozbioru Polski („na drodze pokojowej"). Prowadzą oni akcję polityczną oraz propagandę, przygotowującą wystąpienie z tą sprawą na terenie międzynarodowym. Ten zamiar Niemiec i te ich przygotowania są prawdziwą groźbą dla pokoju europejskiego. Dopóty, dopóki Niemcy głoszą podobny program i dopóki pracują nad jego urzeczywistnieniem, nie może Polska uważać się za bezpieczną. Dlatego nie może ratyfikacja „paktu Kelloga" ani na jotę zmienić naszego stanowiska w sprawie przedterminowej ewakuacji Nadrenji, ani w sprawie rozbrojenia, i nie może też wpłynąć na stan wojskowy Polski i na tempo pracy nad wzmocnieniem obrony krajowej.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

DJALOG O REFORMIE SZKOLNEJ

JEST rzeczą dziwną, jak mało u nas ludzie poważnie dyskutują o sprawach. Gdy rząd przed dwoma laty wystąpił z projektem reformy szkolnej, było trochę huku i gwaru w czasopismach pedagogicznych, było parę artykułów dziennikarskich, kilka dyskusyj na zjazdach pedagogów i — sprawa przycichła. Jeszcze czasem na zjazdach nauczycielskich pojawia się zapytanie do ministra oświaty, co myśli o reformie szkolnej, minister daje zazwyczaj ogólnikową odpowiedź i na tem rzecz się kończy. Sprawa reformy szkolnej została ogarnięta drzemką opinji publicznej, jak każda rzecz dla niej za trudna i za nudna.

Czy to odwrócenie uwagi opinji publicznej od spraw ustroju szkolnictwa jest słuszne, to wielkie pytanie. Najpierw bowiem sprawa jest zbyt ważna, by mogła utonąć w niepamięci po kilku tygodniach dyskusji, powtóre zaś sprawa— wbrew przypuszczeniu niektórych—jest ciągle aktualna, gdyż urzeczywistnienie projektu ustroju z r. 1927 w istocie jest na warsztacie prac rządu... Wystarczy wymienić choćby ostatnie zarządzenie ministra oświaty, które jednym krótkim okólnikiem (z dwutygodniową wykonalnością!) wprowadza zasadnicze zmiany w rozkładzie godzin szkoły średniej i powszechnej, zmiany idące bardzo stanowczo w duchu szkoły jednolitej. Jak słychać, odbywa się też obecnie praca nad zmianą programów szkoły średniej i szkoły powszechnej, również zapewne w kierunku tak zw. szkoły jednolitej. Tylko czekać, jak rząd wniesie do sejmu projektowany nowy ustrój szkolny, albo może i bez ustawy wprowadzi go częściowo *via facti*.

To też z wielkiem zainteresowaniem czyta się broszurę o reformie szkolnej, wydaną świeżo u Arcta przez autora, ukrywającego się pod pseudonimem Tomasza Doświadczyńskiego [1]). Autor wznawia w niej tak niegdyś u nas w rozprawach publicystycznych popularną formę djalogu, a zarówno ta żywa forma, jak potoczysty styl i lekki, fejletonowy sposób ujmowania przedmiotu czynią tę broszurę przystępną dla każdego laika. Zwłaszcza, że autor nie kusił się o wyczerpujące przedstawienie obszernego problematu całej reformy szkolnej, lecz ujmuje tylko ten jej szczegół, który najwięcej obudził dyskusyj, a mianowiciecie projekt skasowania trzech naj-

---

[1]) Tomasz Doświadczyński. Djalog o reformie szkolnej. Wyd. M. Arcta, Warszawa 1928., str. 63.

niższych klas szkoły średniej ogólnokształcącej (jeśli ten projekt wolno nam nazwać szczegółem, bo istocie jest to *punctum saliens* reformy szkolnej).

Doświadczyński uwziął się, żeby zająć stanowisko spokojnego obserwatora. Kollokutorowie jego djalogu: Jan, zwolennik 8-letniego gimnazjum i Piotr zwolennik szkoły jednolitej, wreszcie Wojciech, usiłujący ich obydwóch pogodzić, wykładają swoje poglądy w sposób, który chlubnie świadczy o objektywizmie autora, a jeszcze chlubniej o jego niepospolitem znawstwie przedmiotu. Laik, chcący przygotować się do dyskusji nad tą kwestją, znajdzie w „djalogu" *in nuce* argumenty *pro* i *contra* i przekona się przedwszystkiem, że sprawa nie jest bynajmniej taka łatwa i prosta, jakby mu się na pierwszy rzut oka wydawało.

Bo oto Piotr w walce o szkołę jednolitą rzuca na szalę dyskusji ważne względy społeczne: postulat szybszej demokratyzacji przez szkołę jednolitą, konieczność dania oświaty najszerszym masom dla przeciwstawienia się bolszewizmowi, konieczność zniesienia „ślepej ulicy", jaką dziś jest szkoła powszechna dla ludu, potrzebę dopuszczania ludności wiejskiej do gimnazjów, które dziś w nadmiernym procencie okupują Żydzi. To wszystko ma nam dać szeroka podstawa rekrutacyjna, na której zbudowano szkołę jednolitą.

Tym argumentom społecznym przeciwstawia Jan ważne względy pedagogiczne, dla których chciałby utrzymać niższe gimnazjum. Bo nawet stojąc na stanowisku wyłącznie społecznem: „prawdziwa demokracja, świadoma wszystkich potrzeb państwa, buduje cały gmach szkolnictwa z jednakową troską". „Nie wolno więc nam budować wspaniałego parteru, t. j. powszechnego szkolnictwa, jeżeli to się odbije ujemnie na wykończeniu wyższych pięter, t. j. szkolnictwie średniem i najwyższem". I tu wykazuje Jan konieczność upadku gimnazjum po zniesieniu trzech klas najniższych. Po pierwsze bowiem trzy najwyższe klasy szkoły powszechnej — klasy końcowe, mają zupełnie inny cel dydaktyczny, niż trzy najniższe klasy gimnazjum—klasy wstępne, zwłaszcza, że: powtóre nauczanie w szkole powszechnej oparte jest na podstawie przymusu szkolnego, gdy nauczanie w szkole średniej na zasadzie selekcji; po trzecie siły nauczycielskie w szkole powszechnej, posiadając niższe kwalifikacje niż nauczyciele gimnazjum, z konieczności doprowadzą do niższego poziomu 3 najwyższych oddziałów szkoły powszechnej w stosunku do poziomu analogicznych klas gimnazjów, wreszcie unifikacja musi pociągnąć za sobą upadek poziomu nauczania zarówno języków starożytnych, jak i języków nowożytnych w gimnazjach (mniej fachowe siły, krótszy okres trwania nauki języków starożytnych).

Prawda, że równocześnie ze zniesieniem niższego gimnazjum może w Polsce wzrosnąć zainteresowanie szkolnictwem powszechnem, ale złudą już jest przypuszczenie, że wzmocni się w ten sposób frekwencję w słabych dziś oddziałach V — VII szkoły powszechnej; zamiast bowiem do szkoły powszechnej, młodzież inteligentniejsza pójdzie do niższych klas szkół średnich prywatnych. Złudą jest też powoływanie się na „ducha czasu", bo ten duch czasu co do szkoły jednolitej w Europie objawił się dotąd tylko w Bułgarji i w Rosji, a nawet w Stanach Zjednoczonych nie skrócono bynajmniej okresu przygotowywania się na uniwersytet, ale raczej go przedłużono.

To są argumenty Jana. Ale autor nie identyfikuje się z niemi bynajmniej i wprowadza pod koniec djalogu jeszcze jedną osobę: Wojciecha, który próbuje pogodzić dwa odrębne sstanowiska: społeczne (Piotra) i pedagogiczne (Jana). Wojciech proponuje mianowicie: dla zrównania szans absolwentów szkół powszechnych z absolwentami 3 najniższych kłas szkoły średniej zarządzić obowiązkowe egzaminy wstępne do IV klasy szkoły średniej, egzaminy, które musieliby zdawać uczniowie, kończący klasę III narówni z absolwentami szkół powszechnych. Powtóre Wojciech, który najbardziej ze wszystkiego boi się gwałtownych reform na delikatnym organizmie szkoły, proponuje zwolennikom szkoły jednolitej dokonanie takiego eksperymentu na razie na przeciąg 10 lat na ograniczonym obszarze państwa, n. p. na obszarze dwóch, trzech powiatów, które wyposaży się we wszystkie potrzebne warunki dla udania się eksperymentu. (To, co dotychczas czyniono, a mianowicie udatna rzekomo próby 5-klasowach gimnazjów, nie jest żadnym dowodem, bo do tych 5-letnich gimnazjów przyjmuje się z reguły nie uczniów, kończących pełną szkołę powszechną, ale absolwentów niższych klas pełnych 8-klasowych gimnazjów!).

Do całości planu eksperymentalnego Wojciecha należy dalej ograniczenie liczby lichych szkół średnich prywatnych, które są plagą naszej prowincji, oraz racjonalniejsze niż dzisiaj rozmieszczenie gimnazjów państwowych przez zaopatrzenie w nie tych województw, które ich mają zbyt mało i przez powiększenie wogóle liczby gimnazjów klasycznych, których n. p. kresy wschodnie i centrum państwa prawie zupełnie są pozbawione. Mogłyby to być nawet gimnazja 5-klasowe lub lepiej 6-klasowe po 6 oddziałach szkoły powszechnej. Wreszcie potrzeba jest pewnej liczby gimnazjów o kierunku zawodowym (techniczne, handlowe i t. p.).

Jak widzimy Wojciech jest raczej zwolennikiem szkoły jednolitej, ale za najważniejszą rzecz uważa reformę dzisiejszych gimnazjów.

Jakie jest właściwe zdanie autora, ukrytego za osobami djalogu? Nie wiemy, czy można go identyfikować z Wojciechem, sądzimy, że objektywizm swój i stanowisko obserwatora w sporze doprowadził może zbyt daleko. Uderza nas też, że nie poruszył politycznej strony zagadnienia ustroju szkolnego, poza przytoczeniem niesłusznego zresztą zdania Piotra, że reforma szkolna w duchu szkoły jednolitej otworzy gimnazja dla ludu i stworzy pewne słuszne ograniczenie dla Żydów, gdy właśnie wydaje się pewnem, że zasada szkoły jednolitej — przy faktycznej niemożności realizacji jej na wsi — otworzy na oścież wrota Żydom do szkół średnich państwowych (nie spotkałem się dotąd ani z jednym głosem żydowskim przeciw szkole jednolitej!). Możnaby także sprawę dalszej demokratyzacji szkoły rozpatrywać pod kątem widzenia naszych kresów i idącej za nią emancypacji żywiołów niepolskich. Można by, mówiąc o niższej jakości nauki w wyższych oddziałach szkoły jednolitej, aniżeli w niższych oddziałach gimnazjów, przytoczyć trudność zaopatrzenia w pomoce naukowe i pracownie tak znacznej liczby szkół powszechnych wyżej zorganizowanych, gdy w gimnazjach przecie urządzenia te są wspólne dla niższego i wyższego gimnazjum i opierają się obecnie na niezłej finansowej podstawie tak zw. taks administracyjnych.

W ten sposób ze stanowiska obrony 8-letniego gimnazjum możnaby przytoczyć jeszcze sporo argumentów w tej dyskusji. Nie mniej jednak, a może właśnie dlatego, że nie wyczerpała całości argumentów — broszura Doświadczyńskiego jest doskonałem przygotowaniem szerszej dyskusji o ustroju szkolnictwa, dyskusji, której tak bardzo w Polsce potrzeba; ujmuje bowiem poważnie i z szacunkiem dla tez przeciwnych wiele argumentów, wytoczonych dotąd w walkach wzajemnych i pomnaża je sporą liczbą własnych spostrzeżeń, głęboko ujętych i opartych na gruntownem znawstwie przedmiotu.

Trudności problematu reformy szkolnej w Polsce, konieczność ostrożnego eksperymentowania i potrzeba reformy gimnazjów—oto co powinno pozostać w umyśle inteligentnego czytelnika po przeczytaniu tej ciekawej broszury.

I. JÓZEFOWICZ

*

Od dn. 1 do 4 b. m. obradował w Warszawie zjazd nauczycieli języków nowoczesnych. Liczba uczestników zjazdu przekroczyła pięciuset. Wpłynęła na to prawdopodobnie zapowiedź wykładów znakomitych uczonych-specjalistów, między innymi prof. Wł. Folkierskiego, prof. Wł. Tarnawskiego, prof. Andrz. Tretiaka. Wśród uchwał zjazdu wątpliwości budzić może rezolucja, uznająca „potrzebę nauczania w szkole średniej dwóch języków obcych", trudna zresztą w obecnych warunkach do wykonania. Żałować również wypada, iż w referatach nie omówiono ważnego zagadnienia, mianowicie, jakich z pośród języków obcych należałoby uczyć w poszczególnych częściach Polski.

NAUKA I LITERATURA

Z ŻYCIA LITERACKIEGO

W istniejącej przy Tow. literatów i dziennikarzy Straży piśmiennictwa polskiego, która ma być zawiązkiem przyszłej Akademji literackiej, a która powstała z grona członków honorowych Towarzystwa, zachodzą zmiany widocznie na mocy kooptacji. Wszedł bowiem do niej jeden z najmłodszych pisarzy Ferd. Goetel. Następnymi kandydatami, jak donoszą w prasie, są pp. P. Choynowski i Z. Nałkowska. Członek honorowy Tow lit. b. prezydent St. Wojciechowski wykreślił się ze Straży.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Utalentowany pisarz Edward Ligocki, mieszkający obecnie we Francji wydał w tych czasach dwie powieści. Jedna z nich (w księg. Św. Wojciecha) nosi tytuł „Prawo szpady i krwi". Autor, który poznał zbliska obyczaje korsykanów, przedstawia, w jaki sposób patrjoci tej ziemi pozbyli się złych kusicieli, namawiających ich do buntu rzekomo w imię niepodległości. Na tle dzikiej przyrody korsykańskiej odmalowane są też i dusze polskie, skołatane wypadkami politycznemi, lecz wkońcu i one odnajdują równowagę. Powieść czyta się z żywem zainteresowaniem.

Drugą powieść Ligockiego wydał Gebethner i Wolff. Nosi ona tytuł „Zwid złego ducha". Porusza bardzo ciekawe zagadnienia z dziedziny demonologji religijnej. Z osób działających szczerą sympatję budzi główna bohaterka powieści, pani Wanda. Ujmuje nas jej bezinteresowna, czysta i pełna poświęcenia miłość — aż do jej tragicznego końca. Z niesłabnącą w toku czytania ciekawością śledzimy „przygody" psychiczne oraz życiowe dwóch innych osób głównych dramatu: Szturma i Herburta. Epizodyczna zaś postać prowincjonalnego księdza kanonika zachwyca nas wprost prawdziwością obserwacji.

*

W zeszycie 1 tegorocznym „Ruchu Literackiego" znajdujemy artykuły: Z. Hajkowskiego o akrostychach Kochanowskiego, B. Suchodolskiego o genezie Psalmów miłości Krasińskiego, R. Pollaka o A. Begeyu, J. Birkemmajera przyczynki do Sienkiewicza, wiele recenzyj i doskonałą bibljografję.

*

Ostatni zeszyt wydawanej w Warszawie (Widok 5) „Walki z bolszewizmem" (nr. 10 z r. 1928), zawiera bardzo wiele informacyj o stosunkach w Sowdepji. Szczególnie cenne są wiadomości o stosunkach robotniczych, programie Kominternu, o wyborach i t. p. W r. 1920 na 545 wyższych urzędników Sowdepji—447 było Żydów, Rosjan było tylko 5 procent. Cała prawda o przewrocie mieści się w tych cyfrach.

*

Ukazała się niezwykle pożyteczna „Bibljografja pamiętników polskich i Polski dotyczących" (Druki, rękopisy) sporządzona przez Edwarda Maliszewskiego. Duża księga, przeszło 400 stron licząca, obejmuje 5445 pozycyj bibljograficznych, co znamionuje ogrom dokonanego dzieła. Pewne zastrzeżenia natury praktycznej budzi układ alfabetyczny w obrębie bibljografji rękopisów. Wiadomość o pojawieniu się pracy p. Maliszewskiego napełni żywem zadowoleniem historyków literatury, kultury, dziejów politycznych a także zainteresuje ona świat literacki. Zapełnia bowiem dużą lukę w tej dziedzinie.

*

„Gazeta Sądowa Warszawska" (r. 1929, nr. 1, 2 i 3) opublikowała ciekawy „Zbiór materjałów, dotyczących zmian i uzupełnień Konstytucji Rzyczypospolitej Polskiej". Są to odpowiedzi na ankietę, przeprowadzoną w tej tak aktualnej sprawie z inicjatywy prezydjum Stałej Delegacji zrzeszeń i instytucyj prawniczych R. P.". Kwestjonarjusz ankiety opracował prof. A. Peretiatkowicz. W ankiecie wzięli udział: St. Glaser, K. Głębocki, H. Konic, A. Mogilnicki, A. Peretiatkowicz i M. Rostworowski.

*

Nakładem tyg. „Przemysł i Handel" ukazała się niewielka książeczka pióra ministra inż. Eug. Kwiatkowskiego p. t. „Polska gospodarcza w r. 1928". Są to dwa wykłady, wygłoszone we Lwowie w grudniu 1928 r. W pierwszym z nich autor uzasadnia myśl, iż „historycznym celem Polski współczesnej jest jej wewnętrzny rozwój ekonomiczny". Następnie przechodzi do omówienia roli państwa w życiu gospodarczem. W drugim wykładzie autor cyfrowo ilustruje rozwój gospodarczy Polski w latach ostatnich, wskazując, iż w niektórych dziedzinach produkcji (np. wydobycie węgla) przekroczyliśmy już nasze normy przedwojenne.

*

Wśród wydawnictw Zakładu Narodowego Ossolińskich zwraca uwagę swoją użytecznością i starannym doborem Bibljoteka wychowania fizycznego i sportu. Dotychczas liczy ona 12 tomów. Nie mieliśmy przedtem nic podobnego w literaturze wychowawczej. A więc: lekka atletyka, podręcznik harcerski, badania zdolności fizycznych, lekka atletyka dla kobiet i dzieci, piłka ręczna, tennis, dzieje wychowania fizycznego, gimnastyka, piłka nożna, harcerz w polu i t. p. To są tematy tytułów tych książek. Obecnie wyszła nauka „Szermierki na szable" inż. Wład. Mańkowskiego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Znany pisarz polityczny Jacques Bainville nie ogranicza się do zagadnień z polityki międzynarodowej, ekonomji i do opracowań historycznych. Dał się poznać jako powieściopisarz w „*Jaco et Lori*". Obecnie zaś wydał zbiór utworów p. t. „*La Tasse de Saxe*" (Bernard Grasset). W postaci opowiadań i djalogów rozstrzyga w nich różne zagadnienia życia prywatnego i publicznego. Autor należy, zwłaszcza w stylu, do potomków literackich Voltaire'a.

*

Michelet jest dla nas nietylko dziejopisarzem i człowiekiem, który w epoce romantyzmu oddziałał bardzo silnie na myśl francuską, a przez nią i na myśl europejską. Pozostaje on również w naszej pamięci, jako jeden z przyjaciół Mickiewicza i wyznawca wspólnych idej. To też zainteresuje z pewnością polskiego czytelnika krótka i zwięzła, lecz przenikliwa i dosadna charakterystyka francuskiego pisarza, zawarta w książce, której autorem jest Danice Halevy, a której tytuł brzmi: „*Jules Michelet*" (Librairie Hachette). Rzecz ta jest napisana ze ścisłością naukową, a jednocześnie czyta się łatwo jak powieść.

*

Życie prywatne rodzin panujących należy do polityki. Nic przeto dziwnego, że przygody miłosne księcia Karola, b. następcy tronu Rumunji są czemś więcej, niż interesującym romansem. Uwydatnił to bardzo dobrze p. Gabriel Perreux w książce „*Le Roman d'amour du Prince Carol*" (La Nouvelle Société d'Edition). Wypadki w niej opowiedziane rzucają pewne światło na dzieje polityczne Rumunji w ostatniem dziesięcioleciu.

*

„*Aux fontaines de Barrès*" (Bossard édit.). Autorem tej ze wszech miar ciekawej książki jest p. Roland Engerand, towarzysz lat dziecinnych syna Barrès'a, a który w czasie wojny jako młody oficer, za każdą swoją „*perimission*" widywał autora „*Appel au soldat*". To wizyty były dla niego nietylko zwykłem wytchnieniem fizycznem. Przez zgłębianie bowiem dzieła wielkiego pisarza i przez obcowanie z nim samym autor dotarł do bogatego źródła jego patrjotyzmu, jego siłą moralną wzmacniał swój ideał życiowy. Barrès bowiem, pisze on, dał naszej generacji kierunek wytyczny, podnosząc do wysokości religji ideę Ojczyzny, naszej ziemi i naszych zmarłych. W książce też p. Roland Engerand'a znajdziemy wzniosłe stronice, poświęcone lotaryńskiej ziemi i wyrażające hołd patrjotyzmowi jej synów. Autor podnosi również wpływ Barrès'a w czasie wojny na walczących żołnierzy, który z gorącym entuzjazmem stwierdza. Jeżeli Barrès'a niema już pomiędzy nami, — pisze — to jednakowoż pozostał on w nas!

*

W zbiorze „*Les romantiques*", który wychodzi u Hachette'a ukazała się interesująca biografja Alfreda de Musset. Autorem jej jest p. Emile Henriot, który już poprzednio napisał wstęp do „*Confessions d'un Enfant du Siècle*". P. Henriot wyraża się o Mussecie z dużą subtelnością i zrozumieniem chorej duszy poety. Georges Sand była zdaniem jego pełna wyrachowania i przebiegłości, ale dodaje on, że w końcu stała się szczerą, jak gdyby wszystkie jej kłamstwa wytworzyły rodzaj stanu „podszczerego", którego sama wreszcie padła ofiarą. Unikając znanych szczegółów o „*Amants de Venise*", p. Henriot jednakowoż w ciekawem oświetleniu odmalowuje nam różne stany duchowe poety, jego smutny nałóg pijaństwa i smutne kryzysy nerwowe, przezeń

powodowane. Ojciec zresztą autora biografji o Mussecie znał jego matkę chrzestną, panią Jaubert, dzięki czemu oczywiście posiadał cenne informacje związane z jego burzliwem życiem.

*

Jean Dorsenne, autor egzotycznej, z dużym artyzmem ujętej powieści *„C'était un soir des Dieux"*, której akcja toczy się w Polinezji, wydał obecnie *„Océane"* (Ferenczi édit.). Obrał on znowu za tło swojego dramatycznego utworu Tahiti i wyspy Markizy. Dwaj zrujnowani Bretończycy stają się kapitanami handlowych statków. Po straszliwej burzy, statek ich tonie, oni sami zaś dostają się do Tahiti, gdzie po różnych perypetjach udaje się im wydostać mały żaglowiec, dzięki któremu wylądowują w Nouka Hiva. Tam to jeden z nich zakochuje się w bogatej kobiecie europejskiej. Zmuszony jednakowoż opuścić tę krainę pachnących plantacyj, a zazdrosny o przeszłość tej, którą kocha, zabija ją. Opowieść dramatyczna kończy się pożarem małego żaglowca awanturniczych kapitanów.

*

„La Nuit en mer" (Flammarion), to opowieść morska, pióra p. Claude Farrère, wytwornym napisana stylem. Na morzu Czarnem, a potem na Bosforze, noc naprzód panuje spokojna, potem burzliwa, morze coraz bardziej rozkiełznane. Tym obrazom natury autor z dużym artyzmem przeciwstawia solidną i silną dyscyplinę moralną marynarzy.

*

Wyborny zawsze przegląd dwutygodniowy *„La Vita Italiana"* przyniósł na swych łamach artykuł pióra Giovanni Preziosi, bardzo poważnego publicysty włoskiego, o zmarłym niedawno Giolittim.

Sam Preziosi nie należał do zwolenników Giolittiego, jednak stara się oddać mu sprawiedliwość. Preziosi podnosi przedewszystkiem uczciwość zmarłego męża stanu, który nigdy, będąc u steru rządu, nie szukał własnych, osobistych korzyści i korzyści swych przyjaciół i popleczników. „Nieuczciwymi bywali liczni „golittianie" ale nie Giolitti". Pozatem krytykuje jego sposoby rządzenia krajem i wielokrotne świadome posługiwanie się kłamstwem w polityce i przekupywaniem ludzi, gdy uważał, że to mogłoby wydać korzystne skutki dla kraju. Kiedyś pewien przeciwnik Giolittiego tak wyraził się o nim: „Nieprzekupny, ale nikt tyle co on nie ma przekupstw na sumieniu".

W charakterze Giolittiego pełno było sprzeczności: Umiał bronić przyjaciół, ale też umiał ich zdradzać. Potrafił śmiertelnie nienawidzieć, ale też potrafił i przebaczać. Sekretem powodzenia jego było, że znając złe strony ówczesnego włoskiego społeczeństwa, starał się rządzić niem, manewrując zręcznie na jego słabostkach, i nie troszcząc się bynajmniej o moralność swych rodaków.

SZOPKA SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH

Znakomity pomysł mieli uczniowie warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, urządzając tradycyjną „Szopkę". Na określenie „tradycyjną" położyć tutaj należy nacisk szczególny, ponieważ tą właśnie tradycyjnością szopka Szkoły Sztuk Pięknych odróżnia się zasadniczo zarówno od przedwojennej Szopki „Zielonego Balonika" w Jamie Michalikowej w Krakowie, jak i od późniejszych Szopek „Cyrulika Warszawskiego" czy Pikadora, których jedynym, najdawniejszym protoplastą był właśnie... „Zielony Balonik". W szopce Szkoły Sztuk Pięknych conajmniej połowę przedstawienia wypełnia „część tradycyjna": pasterze, stajenka Betlejemska, Herod — na tle prostych, ale ładnych dekoracyj przesuwają się doskonale pod względem artystycznym wykonane kukiełki, gdy tymczasem ukryci za sceną „szopkarze" wyśpiewują staropolskie kolendy, i znane każdemu od dziecka, i nieznane, z pod pyłu zapomnienia wydobyte, prześliczne. To wskrzeszenie dawnych, zapomnianych kolend z natury rzeczy nie może powieść się nigdy na wielkiej, obrotowej scenie stołecznego teatru, wśród bogactwa efektów świetlnych, przy udziale rutynowanych aktorów. Tylko scenka maleńka szopki, kukiełki, nieuczony śpiew kolendników, zdolne są nadać przedstawieniu wewnętrzną prawdę artystyczną, nieodparty urok prymitywu.

Niezawodny jest ów rasowy instynkt twórczy, który uczniom Szkoły Sztuk Pięknych poszukiwać nakazuje natchnienia w pięknie dawnego obyczaju, w nieskończonych możliwościach artystycznych, jakie są w niem zawarte. Czyż nie z kolendy powstało *Scherzo h-moll* Szopena, czyż nie z techniki scenicznej „Jasełek" wywodzi się „Wesele"?

„Część aktualna" Szopki, również znakomicie pomyślana, nie naśladująca nudnych „aktualności" politycznych w stylu „Qui pro quo", najściślej związana jest z polskiem życiem artystycznem wogóle i z życiem Szkoły w szczególności. I tutaj znów ideały młodego pokolenia najprawdziwszy znajdują wyraz w żartobliwem potępieniu snobistycznego kultu zagranicy oraz traktowania twórczości artystycznej jak przedsiębiorstwa, źródła największych możliwie dochodów.

Oto n. p. pierwsza zwrotka piosenki, jaką śpiewa Ostropyski (St. Ostrowski) „impressario od polichryji" na Starem Mieście (nuta: „Hej tam od Krakowa"):

„Rzekła mi Stryjeńska:
Trzeba coś zarobić,
Dawaj stary jakąś budę,
Będziemy ją zdobić" (*bis*)

A zakończenie piosenki:

„Orderu nie dali,
Jam zasłużył przecie,
Poczekajcie przyjdzie teraz
Jedenastolecie! (*bis*)

Kupię sobie dłótko
I na Saskim stworzę
Grób rzeźbiarza nieznanego —
Sam się w nim położę!" (*bis*)

A oto znów mistrz plakatów i okładek, Grandowski (T. Gronowski) śpiewa:

„Skamander", „Rój",
„Iwonicz — Zdrój",
Kapelusz „Pless"
I firma P. P. S.!
— — — — — — —
Ja zrobię
Wszystko tak, jak pan chce:
Dobry smak, albo nie,
Jak gdzie!!!"

Zaś laureat olimpijski, Skoczydryblas (prof. Skoczylas), tak z humorem prezentuje swą sztukę:

„Gazda — siekierką błyśnie znów
Zbójnik — raz setny wyjdź na łów!
Baca
Na ścianę wraca,
Akwarel stos
I pełen trzos!
Góral — swą głową znów się pcha!
Juhas — przecież to każdy zna,
Mamo!
Ciągle to samo!
Jeszcze go raz!
Bodajto jasny piorun trzasł!"

Nie należy jednakże sądzić, żeby stosunek „szopkarzy" do starszego pokolenia artystów był z reguły niechętny albo nawet złośliwy. Poprzez żart przebija uznanie każdej rzetelnej zasługi, zwłaszcza zaś w stosunku do profesorów Szkoły na każdym kroku widoczna jest najszczersza, ze ścisłego zżycia się wypływająca serdeczność. A zresztą autorowie „Szopki" jako tematu do żartów nie pomijają także siebie, tak np. określając przez uczniów Szkoły Sztuk Pieknych stworzone „Bractwo malarskie św. Łukasza":

„Robota fachowa
Zawsze jest jak nowa
Czerw nie stoczy, ja też wierzę,
Że i złodziej nie zabierze.

Krajowe wyroby,
Tajemne sposoby,
Chociaż zapach holenderski,
Lecz fabrykat kazimierski"

Słowem Szopka udała się jaknajlepiej. Na szczególne uznanie zasługują świetnie przez Siemaszkę wyrzeźbione lalki — karykatury i zabawna dekoracja „Stare Miasto po polichromji" przez Wajwóda.

J. R.

OFENSYWA

CEZARY *contra* OR-OT

„EPOKA“ a raczej „Opoka“ jest to, jak wiadomo, dziennik redagowany przez p. p. Grossterna, Wasserzuga, Lichtenstejna, Atlasa, Malinika i dwunastu dalszych dzielnych Machabeuszów. Z organów sanacyjnych stołecznych trzeba to jednak przyznać pismo najpoważniejsze, od takiego n. p. „Krupjera Porannego“ stojące o kilka pięter wyżej. Od czasu do czasu atoli „Opoka“ zamieszcza dla wywołania pewnych złudzeń artykuły mocno i rzęsiście wtedy podsygnowane pełnem nazwiskiem, tak zwanych *Parade* — Arjów. Jak istniały dawniej w Austrji t. zw. *Paradebauery*, tak istnieją obecnie u nas analogiczni *Parade*—Aryjczycy czyli katolicy (z ograniczoną poręką), katolicy na okno wystawowe, szyldowi. W „Opoce“ rolę takiego od szyldu i witryny grać musi od czasu do czasu pan Cezary. Tym razem nie Jellenta, boby już było za dużo, tylko p. Cezary Łagiewski. Ten cierpi przewlekle na dojmującą czkawkę carską. Rozchodzi mu się stale o definitywne zdemaskowanie tych, co to dawniej „za Moskalem stali“ autonomji tylko chcieli nic więcej, o żadnej Polsce niepodległej nigdy im się nie zaśniło, pod „kopyta kozackich koni róże i fjołki rzucali“, pod adresem do Wielkiego Kniazia Mikoł. Mikołajewicza krzyżykiem się podpisywali, jako że endecy — wiadoma rzecz—analfabety...

Ostatnio p. Cezary znowu skompromitował nieuleczalnych moskalofilów wprost doszczętnie. W artykule pt. „Dziwne objawy“, udowodnił czarno na białem, że pewna część społeczeństwa armji nie lubi. Ta mianowicie część, która nie bardzo w żydach jest rozkochana ta sama i armji polskiej nie lubi. Asumpt do tych wywodów bierze sobie w Opoce Maliniaków pan Cezary z tego, że w pewnej prasie od czasu do czasu pojawiają się mniej lub więcej surowe skarcenia pewnych ekscesów, jakich się dopuszczają tu i owdzie wojskowi. Pouczony i podbechtany przez epokowych Maliniaków pisze p. Cezary:

„Każdy czyn młodzieńca, każdy postępek zawadjacki, od którego nie jest wolna żadna armja na świecie, rozdmuchują do niebywałych rozmiarów i na jego podstawie starają się wyprowadzać b. ujemne uogólnienia. Dla objektywnego obserwatora są to objawy wprost niezrozumiałe. Mimowoli rodzi się pytanie, co jest przyczyną takiego stanu rzeczy?“

I pan Cezary odpowiada na to, że ten „stosunek negatywny“ do armji jest „naleciałością przeżytej niewoli“... i że ci co np. „podpisywali adres do N. Nikołajewicza“ nie mogą pokochać teraz wojska polskiego.

Otóż w tem tkwi jakieś wcale grube nieporozumienie. Jeżeli zdarzają się gdzieś jakieś *excessa*, to prasa polska, czujna prasa narodowa nie tylko może, ale p o w i n n a o tem pisać zawsze, stale, wyraźnie, mocno i odważnie. Prasie żydowskiej nie wypada. „Epoce“ też nie wypada. Ale m o ż e. I wtedy o tem pisaćby p o w i n i e n stale p. C. Łagiewski. Właśnie z miłości i z pozytywnych uczuć, jakie żywi dla armji polskiej.

Na bajdurzenia natomiast o tem, że nie mogą kochać wojska polskiego ci, co podpisywali się pod adresem do W. Księcia Mikołaja, dajemy panu Cezaremu kontr-argument chyba „*pierwokłasny*“.

Wydał niedawno Or-Ot tom piosenek żołnierskich pt. „Kochaj Żołnierza“. Niewybredne to to, nie wykwintne, ot takie toastowe kujawiaki, krakowiaki i strofy, które kopami płodzić można wieczorem, gdy wesołe bractwo zasiądzie przy stole u Langnera, a „foki“ postawią kilka butelek, *Exemplum*:

„Polskiego marsza dziarski dźwięk
Wpadł w gwar uliczny,
Naszej piechoty idzie pułk
Ach, jaki śliczny“!

Grymaśny Zoil czy esteta powie zapewne na to, po przeczytaniu, że w każdej trzypiętrowej kamienicy warszawskiej jest mniej więcej dziesięć osób obojga płci, które taką poezję dostarczyć mogą na obstalunek (z dostawą do domu). Zgoda, ale nie w tem rzecz. Istotnie Or-ot w ostatnich czasach, odkąd wybudował sobie *cottage* na Żoliborzu i odkąd wdepnął w *Etablissement Fryze* fabrykuje wiersze już maszynowo i masowo w stylu zgoła kataryniarskim i o kilka cali poniżej poziomu „Muchy“. Zapewne, że są to wyłącznie produkty i popisy Muzy, która chodzi piechotą. Ale nie w tem rzecz. Podparte ilustracjami Kossaka, wierszęta te są nietylko strawne, ale dadzą się polubić przez tych konsumentów, dla których są przeznaczone, a to z tego powodu głównie, że Or-Ot istotnie kocha żołnierza polskiego, jak zawsze kochał i zawsze o nim marzył i zawsze go kochać będzie.

A do jakiego to obozu „orjentacyjnego“ przynależał Or-Ot? Podczas wojny europejskiej w charakterze redaktora „Tygodnika Illustrow.“ był trubadur starej Warszawy jednym z najżarliwszych Ententystów. Niemców nienawidził do szału, a kiedy Zeppeliny rzucały strzałki na Warszawę, skrył się z obrzydzenia do Szwabów na kilka godzin w... zaciszne miejsce i wyjść nie chciał. Potem zaś, gdy po wojnie przyszła era fundowania na Efialtesach partyjnych wielkiej legendy polskiej, doskonale wiedziano, w jaką tutaj czułą strunę uderzyć i gdzie mu ambicję połechtać. Adoratorowi księcia Pepi zaofiarowano rangę i mundur, żeby się prezentował lepiej.

I paraduje nam teraz dzielny Or-Ot jako pułkownik Fredrowskich damskich „Huzarów“ i jest ozdobą i klejnotem obozu, którego organem jest także i „Epoka“. I on pisze o nich, a oni o nim z największą rewerencją. I kocha naprawdę szczerze żołnierza i uczy kochać go szerokie warstwy.

A jednak panie Cezary Łagiewski ten to właśnie polski Kipling czy Deroulède, wiarus nad wiarusy, on to jeden jedyny z polskich poetów podpisał się właśnie na tym adresie do Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza! Nie inni, a właśnie on. No i co z tego? Co z tego?

Czy jest ktoś w Polsce, któryby odmówił Or-Otowi istotnego, głębokiego, żarliwego rozkochania się w polskim żołnierzu? Niema.

Więc poco maliniaki z „Epoki“ wypisujecie takie bzdury? Poco judzicie takiego p. Łagiewskiego, żeby napadał na autochtonów i tubylców? Poco wywołujecie wilka z lasu? Poco biednemu Orocięciu podstawiacie nogę? Czy za to, że straganowi Friesego dostarcza swoich pierników a nie wam?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Opozycja, prowadzona obecnie w Sejmie przez P. P. S., jest ową przysłowiową opozycją Jego Królewskiej Mości. Gdzież się podziała zasadnicza postawa P. P. S. *in illo tempore*, kiedy to „walka z caratem“ decydowała o linji politycznej tego stronnictwa we wszystkich sprawach. Za tę walkę z caratem socjaliści kazali sobie dodać jedno P. z przodu. Co to się działo z tem hasłem! Wstrząsało ono życiem wewnętrznem Polski od początku tego stulecia, choć nie bardzo wiedziano w partji, o co chodzi, bo żydzi krzyczeli: „precz z ceratem“. A gdy wreszcie cara nie stało, P. P. S. utraciwszy jedyne wyraźne hasło, aż się załamała, nie wiedząc, co dalej robić z sobą. Zdawało się, że teraz rola opozycji odrodzi w partji dawny animusz, aliści okazało się, że wiedeńska rola bluszczu Daszyńskiego więcej przypada jej do smaku. Pytają się, czemu teraz socjaliści nie głosowali z opozycją, a „Robotnik“ długo, długo myślał, wreszcie odpowiada: bo „nie chcemy rządowi przeszkadzać — niech sam spokojnie zbutwieje“... Jednem słowem P. P. S. nie jest filarem rządu, tylko bluszczem na butwiejących filarach.

*

Są teraz w Warszawie czasopisma literackie, nie mające czytelników, ale też o nich nie dbające. Wydawane są wyłącznie dla rządu, do niego są odwrócone frontem — z wyciągniętą ręką. O niczem się tam nie mówi tylko o subsydjach, darach z łaski, nagrodach, a o literaturze i literatach tylko tyle się pisze, ile im potrzeba, by dane utwory czy autorów zalecić rządowi. Obliczone to jest na łatwą hypotezę: przecież rząd ma tyle do roboty, że stosunków literackich nie zna. Więc się buja. Teraz np. w tygodniku literackim „Głosie Prawdy“ widzimy reklamę dla „*Pologne Litteraire*“ na którą rząd łoży. Pisze się o niej tak, jakby istotnie nikt tego pisma w ręku nie miewał. Autor (p. Hulka Laskowski) powołuje się w tej mierze na list swojej córki z Grenoble i utrzymuje, że to pismo jest poprostu „organem wymiany m a t e r j i d u c h a“... Doskonała formułka dla referenta w ministerjum. Dosyć powiedzieć, że „*P. L.*“ spopularyzowała zagranicą takich twórców, jak: Sienkiewicza, Kadena-Bandrowskiego, Reymonta, Wyspiańskiego, Norwida, Wielopolską, Słonimskiego“ (dosłownie). Jakżeby się zdziwił referent od ducha materji, gdyby się dowiedział, co literaci francuscy mówią o tym organie materji ducha:

— Może to panom będzie przykre — mówił wybitny francuski pisarz literatom polskim w Warszawie — ale czuję się obowiązany powiedzieć prawdę: to się nie da czytać...

*

Jeszcze parę słów o literaturze polskiej, jak ona jest prezentowana do subsydjów przez pisma sanacyjne:

„W chwili obecnej dostrzegamy w Polsce rzecz wysoce doniosłą: dawna półprawda czasów zaborczych zaczyna chwała Bogu ustępować całej, pełnej prawdzie polskiej. Ostatnie książki Kadena-Bandrowskiego zbiegają się, koincydują w p r o s t r a d o ś n i e z publicystyką Rzymowskiego i beletrystyką Ulanowskiego. Nie jest to przypadek, że z trzech różnych (?) stron, z różnych pobudek i różnemi środkami wypowiada się prawdziwa, rzeczywista, żyjąca i żywa Polska. Polska konwencjonalna ustępuje Polsce rewelacyjnej“. (Głos Prawdy).

Wprost radosna rewelacja dla czytelnika polskiego. Wszyscy ci trzej panowie, którzy tak „wprost radośnie“ się spotykają z „różnych stron“ są płatnymi funkcjonarjuszami państwowymi, wzajemnie się reklamującymi. Jak to ładnie potem brzmi: „referent literacki monopolu spirytusowego!“. Nowa trójca wieszczów! Wprost radośnie „konicyduje“ ta trójca z czasami radosnej sanacji. „Pełna prawda polska“ — jaki pan, taki kram.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM